



## Laureaci

1 miejsce – Karolina Król – Zielnik .....	2
2 miejsce – Anna Kłodnicka – Kamienie .....	6
3 miejsce – Łukasz Marciniak – Wszystko zależy od punktu słyszenia .....	10

## Wyróżnieni

Alicja Wojciechowska – Audycja u Lorda Czasu .....	13
Katarzyna Hajok – Oko za oko .....	16
Dagmara Leśniak – Pasja i kara .....	20
Szymon Smoliński – Zegarmistrz .....	24
Sylwester Gdela – Męczennice .....	27
Maciej Serżysko – Holenderska lampa .....	30
Kuba Frąk – Niezniszczalny Joe .....	33
Łucja Budzan – TENEBROS .....	36
Jagna Rolska – Gniewka .....	40
Dagmara Leśniak – Barbarzyński berberys .....	43
Maciej Sznurkowski – Wilk .....	47
Paweł Benetkiewicz – Zaraz będzie ciemno .....	50
Paulina Górecka – Umarłe ogrody .....	53

## Karolina Król – Zielnik

*Atropa belladonna*

– Gdybym wiedział, że pracuje tu taka ładna pani, zaglądałbym tu częściej – młody mężczyzna oparł łokcie na kontuarze i pochylił się nad pracującą florystką. – Jest pani tu nowa?

Dziewczyna obrzuciła go krótkim spojrzeniem i wróciła do wiązanych w dłoni kwiatów. Dziewięć prawie metrowych czerwonych róż już pozbawiła kolców, teraz tylko rafia i gotowe.

– Właściwie tak. Bezlitosne prawa rynku.

Czuła, jak gorące spojrzenie wdziera się w dekolt. Tym mocniej pochyliła się nad stołem. By nie mógł się oprzeć.

I się nie oparł.

– Sto dwadzieścia złotych – mruknęła.

Mężczyzna gwizdnął. Wyciągnął z marynarki portfel - gruby, czarny, pachnący luksusem.

– Cenisz się.

Dziewczyna znów zlustrowała go beznamiętnym wzrokiem.

– Pańska wybranka będzie zachwycona. To dobra odmiana, przed włożeniem do wazonu mógłby pan jeszcze przyciąć końce na skos i wsypać tę odżywkę do wody.

Mężczyzna skinął, położył dwa banknoty – stu- i pięćdziesięciozłotowy – na blacie.

– Za przemiłą obsługę – wyjaśnił, nachylając się w stronę dziewczyny. Przesunął językiem po swoich wargach i wlepił w nią zgłodniałe spojrzenie. – Chcę zostawić dobre wrażenie. Na następny raz.

Chwycił kwiaty. I syknął.

– Cholerne kolce.

– Przepraszam, musiałam jakiś ominąć. Proszę, tu chusteczka.

– Nie trzeba.

Mężczyzna wyłamał zakrwawiony kolec i rzucił na blat. Wsunął palec do ust.

– Czym byłaby miłość bez odrobiny bólu – spojrzał na dziewczynę ślisko, obrzydliwie. – Do zobaczenia.

Odprowadziła go wzrokiem. Gdy tylko drzwi zamknęły się, a elegancki mężczyzna wsiadł do swojego eleganckiego auta, florystka zgarnęła resztę liści z blatu do kosza. Potem zakluczyła drzwi i sięgnęła po rękawiczki. Ostrożnie chwyciła kolec z czerwonym, lśniąco zakończonym końcem i poszła na zaplecze.

W płaskiej, okrągłej misie już czekały przygotowane dawno kwiaty.

*jaki bukiet masz dla mnie tym razem, nemezis?*

Zasuszona rosa canina, czyli dzika róża, odrobina niecierpka, czerwone pąki goździków i męczennica. Błękitna, piękna, w pełnym rozkwicie. Zbyt piękna, by umierać tak młodo.

*kwiatuszku, będę cię kochał na wieki*

Jeszcze tylko zalać rośliny wyciągiem z belladony i posypać roztartym w moździerzu kolcem.

Zagrzmiało, a w małym pomieszczeniu zrobiło się ciemniej.

– Mihi nomen est Nemezis – szepnęła dziewczyna, ściągając rękawiczki. Chwyliła nóż.

Przesunęła ostrzem po wnętrzu dłoni i pozwoliła, by kilka kropel spłynęło na płatki kwiatów w misie.

– Veni.

Szept zmienił się w śpiew. Rośliny na półkach zaszeleściły, gdy lekki wiatr wypełnił pomieszczenie, unosząc włosy florystki jak płomienie.

To miała być ostatnia noc w życiu luksusowego Adama, eleganckiego mężczyzny, który w eleganckim hotelu wykorzystywał kolejną niewinną

*kwiatuszku*

*dziewczyne*

*mam pieniądze i możliwości, odpierdol się, przecież wiem, że tego chcesz*

Noc zakończyła się kwadrans przed północą.

*Lilium*

– I chcielibyśmy jeszcze, żeby przy klęczniku było mnóstwo takich białych drewnianych lampionów, wiesz, na pinterście tak widziałam, żeby mnóstwo świec było w środku, czekaj, pokażę na instagramie...

Młoda para siedziała w kącie kwaciarni, specjalnie zaadaptowanym do tego rodzaju spotkań miejscu, na kanapie z pomalowanych na biało palet, wśród poduszek, lampionów i kwiatowych dekoracji.

Florystka notowała uwagi.

– I płatki róż wysypane na białym dywanie, da się to załatwić, nie? Jeszcze żeby dywan miał nasze imiona, byłoby cudownie, i koniecznie wstążki przeciągnięte na ławkach, żeby nikt nie wszedł w tym przejściu, żeby to było tylko dla nas.

Florystka kiwała głową, ale myślami była gdzie indziej. Dobierała kwiaty.

Tym razem najodpowiedniejsze wydały jej się lilie. Piękne, dostojne, pompatyczne, o intensywnym zapachu, nieco trącqące sztafpą i kiczem, ale mające w sobie coś

*lilije*

co mogłoby oddać idealnie przyszłość tego związku.

Lilie w szklanych wazonach – piękno przy minimalnym wysiłku.

Żegnała narzeczonych z lekkim smutkiem. Szkoda tego chłopaka. Widać, że wpatrzony w dziewczynę jak w obrazek. Szkoda, że nie wie, że ona skłamię, przysięgając mu wierność i uczciwość małżeńską. Szkoda, że brakuje mu odwagi, by przerwać monolog przepięknej narzeczonej, wrzasnąć, że on wie, doskonale wie, że ona puszczała się z jego bratem, ale ślubna machina ruszyła i teraz jest za późno, by się wycofać.

Szkoda.

Gdy po wszystkim sprzątała kościół zauważyła, że niektóre lilie, symbol czystości i szczerości intencji zdążyły pomarszczyć się i szernieć.

Wiedziała dlaczego, w końcu wszystko, co zakryte, kiedyś ujrzy światło dzienne. Ale na razie to jej sekret.

Ziemia go z wierzchu zakryje, a na niej rosną lilije.

### *Convallaria*

Ta noc była wyjątkowa. Księżycowa, jasna, spokojna. Zaplecze rozjaśnione białymi świecami wypełniał słodki zapach.

To lawendowy okrąg na podłodze, on tak pachniał. Lawenda, mająca niezwykle właściwości uspokajania burz i niepokojów, była idealnym nawozem do usypanej w środku okręgu ziemi, czekającej na nasiona.

Nie na zwykłe nasiona.

Florystka zmieniła robocze ubranie i fartuch na białą, przewiewną sukienkę. Nuciała

*raz królowna złotowłosa*

*cudny miała sen*

*że splatała złote włosy*

*złociste jak len*

chodząc wśród świec wokół i ze szklanej fiołki, na której sama wyrysowała odpowiednie runy, strzepywała na ziemię krople wody.

Czasem wydawało się, że krople te nanizane są na nitki, spadają w posłusznych rzędach. Tam, gdzie spadły, natychmiast z ziemi wystrzeliwały wąskie, pojedyncze liście.

*i przyszedł do niej grajek*

*na skrzypcach zaczął grać*

*i mówi: pójdź, królowno*

*konwalie ze mną rwać*

Nie bez powodu mówi się, że konwalie to kwiaty zrodzone z łez, myślała florystka, patrząc, jak ziemia spiętrza się, a woda daje nowe życie.

Tej nocy płynęło wiele łez, w wielu domach. Dlatego ta noc była wyjątkowa. Wyjątkowy miał być również poranek i pierwszy klient.

Klientka, ubrana w czerni, zapuchnięta od płaczu i blada. Prosiła o dekorację trumny

*mała, biała trumna, tak mała, boże, za mała*

i jakiś bukiet.

– Niech pani to weźmie – powiedziała florystka na koniec, wręczając kobiecie przygotowany wcześniej pęk suchych roślin – miętę, paproć i koniczynę. – I zawiesi w jej sypialni. Da to pani pokój.

I odgoni tę rozpacz, która sięga po tabletki przeciwbólne

*to na migrenę*

i alkohol, odgoni te złe duchy, które mówią, że skoro życie straciło sens, lepiej jest nie żyć. Da spokojny sen, a po pewnym czasie, gdy zawieszony w oknie pęk stanie się tak suchy, że będzie się kruszyć, pozwoli iść dalej, schować zabawki i ubranka, rozpocząć nowy etap.

Potem, czekając aż gąbka we florecie odpowiednio nasiąknie wodą, szykowałą rośliny. Biała eustoma, róża gałązkowa, paproć

*idź bezpieczną drogą, maleństwo*

i konwalie, które nie miały prawa wyrosnąć. Nie w listopadzie. Przeczyło to prawom natury.

Ale to były jej ulubione kwiatki.

Zaplecze pozwalało raz na jakiś czas naginać prawa natury. Przynajmniej kobieta w czerni już nie płakała. Jej łzami stały się te konwalie i, wciąż zadziwiona

*skąd pani wzięła te kwiaty, skąd pani wiedziała!, że to jej ulubione*

spokojnie przetrwała pogrzeb.

Florystka wie, że niedługo będzie musiała stamtąd odejść. To nie „bezlitosne prawa rynku”, tylko fakt, że w nie tylko w tym miejscu kwitnie tak wiele różnorodnych roślin, zasługujących na to, by w jej zielniku zyskać swą prawdziwą twarz.

Jak bogowie pozwolą – jeszcze w tym cyklu.

## Anna Kłodnicka – Kamienie

1

Przekładam je z ręki do ręki. Szary i podłużny. Biały i owalny. Niebieski jak niebo. Przezroczysty jak szkło. Srebrny niczym Rój. Duży, z ostrą końcówką, kiedyś zabarwiony czerwonią. Żółty i kanciasty. Niemal okrągły, o kolorze trawy.

Kamienie mają tę zaletę, że – w przeciwieństwie do ludzi – nie umierają. Pozostaną ze mną aż do końca. Moje skarby, moi wierni towarzysze. Moja największa pasja. Ponownie biorę do ręki szary i podłużny. Uderza we mnie fala wspomnień.

2

Tego dnia ojciec po raz pierwszy od moich narodzin pozwolił mi wyjść na dwór. Spojrzałem na ziemię i sięgnąłem między źdźbła trawy. Trzymałem w dłoni coś szarego i podłużnego.

– Co to? – spytałem.

– Kamień.

– Piękny – szepnąłem. – Na zawsze znajdzie miejsce w moim sercu.

Ojciec zaniósł się śmiechem. Spojrzałem pytająco, chcąc wiedzieć, co wywołało taką wesołość.

– Kiedyś ci powiem, synu – obiecał. – Kiedyś ci powiem.

I powiedział, chociaż musiałem na to poczekać. Ach, te lata. Sporo się zdarzyło, zanim pojawił się Srebrny Rój.

3

Na początku sądziłem, że poza mną i ojcem nie istnieje nikt inny. Jednak w murze dookoła ogrodu odkryłem furtkę. Spytałem, dokąd prowadzi. Ojciec niechętnie podzielił się prawdą.

– Byłem genialnym wynalazcą, synu. Król zapragnął posłuchać śpiewu słowika zimą. Skonstruowałem więc mechanicznego ptaka. Wyglądał jak żywy. Potem był mechaniczny pies. Aż władca zażądał mechanicznego człowieka.

– Człowieka?!

– Pracowałem długo – kontynuował ojciec. – W końcu powiedziałem władcy, że nie dam mu tego, czego chce. Popadłem w niełaskę. Musiałem zniknąć z jego oczu. Na szczęście los wtedy obdarzył mnie tobą, więc wygnanie mnie nie smuciło. Tu jesteśmy bezpieczni. Nie wychylaj się.

Jednak nie wytrzymałem. Pewnej nocy wykradłem klucz do furtki. Miasto było przepiękne. Tyle budynków i przestrzeni. Spacerowałem niemal całą noc. Czuję się wspaniale.

Wracając, podniosłem kamyk. Biały i owalny. Kiedy sięgałem ku furtce, nie zauważyłem nikogo w pobliżu. Ale ktoś tam musiał stać, wtopiony w mrok.

4

Zjawili się godzinę później. Było ich trzech. Zauważyłem cienie skradające się za oknem i zaalarmowałem ojca. Wyjął z szuflady przyrząd niewiele większy od dłoni, zakończony rurką.

Gdy ludzie wbiegli do sypialni, ojciec skierował urządzenie w ich stronę. Huknęło, a człowiek osunął się na ziemię. Po dwóch huknięciach pozostali też padli martwi. Rurka dymiła.

– Kim oni są? – wykrztusiłem.

– Ludzie króla. Nie rozumiem, dlaczego przybyli teraz. Po tylu latach!

Ze wstydem przyznałem się, w jaki sposób spędziłem większość nocy.

– Zniszczyłeś wszystko – powiedział ojciec. – Ale nie czas na wymówki. Nie pozwolę, by cię zabrali.

– Oni chcą mnie?! Dlaczego?

– Bo należysz do mnie. Król nie zapomniał, że istnieję. Skoro dałeś znak życia, postanowił działać. Utrata ciebie to jedyny sposób na skrzywdzenie mnie. Uciekamy. Spakuj to, co najcenniejsze, synu.

Najpierw spakowałem kamienie.

5

Zatrzymaliśmy się dopiero na końcu świata. Wioska była mała. Dalej pyszniła się pustynia, a nad nią wysokie góry.

– Góry Krańca. Nikt nigdy ich nie zdobył – rzekł ojciec. – Nie wiadomo, co jest po drugiej stronie.

Zamieszkaliśmy w tym ubogim zakątku. Nie ufano nam. Byliśmy obcy. Dzieci wytykały mnie palcami. Wystarczyło, że się zbliżałem, a rzucały w moją stronę kamieniami. Bolało mnie, że używają jako broni czegoś, co było dla mnie takie ważne.

Zdziwiłem się, gdy kiedyś do mojego szałas zapukała mała dziewczynka.

– Nazywam się Eila. Lubisz kamienie – stwierdziła, wręczając mi jeden niebieski jak niebo. – Wszyscy to wiedzą. A ja lubię ciebie. Chcę zostać twoją przyjaciółką.

Została. Bawiliśmy się wspaniale, rozmawiając przez całe dni o wszystkim i o niczym. Była dla mnie jak młodsza siostra. Do czasu. Pewnego dnia zobaczyłem biegnącą matkę Eili. Splunęła mi w twarz.

– Dlaczego? – spytałem.

– Zabiła ją.

– Kogo zabiła?

Wyciągnęła w moją stronę dłoń i pokazała kamień przezroczysty jak szkło. Sięgnąłem po niego.

– Weszła do wody. Nurt zbił ją z nóg. W woreczku na szyi miała to. Szukała kamieni. Umarła dla ciebie.

Kobieta rzuciła się na mnie i zaczęła okładać pięściami. Pozwoliłem jej na to. Stałem nieruchomo, nawet nie próbując się zasłonić. Popelniła samobójstwo następnego dnia. Połknęła dużą garść trujących jagód.

6

Oczywiście wygnano nas z wioski. Gdy dotarliśmy do innej, w miarę przyjaznej, Pani wypuściła na świat Srebrny Rój.

Niebo było pełne chmur. Nagle rozległ się warkot. W powietrzu zamajaczyła srebrna mgiełka. Gdy dotarła bliżej, przypominała rój malutkich os. Błyszczące drobiny zaczęły tańczyć dookoła nas. Parę osób krzyknęło z bólu. Część padła od razu, część przeżyła mimo choroby. Patrzyłem, jak z ich uszu wypływa krew, z ust toczy się piana. Mimo otaczającego mnie bólu schyliłem się i podniosłem kamień. Srebrny niczym Rój.

7

Ojciec zgaśł cicho pewnej nocy. Złożyłem zwłoki w płytkim dole. Obok grobu leżało wiele kamieni, ale nie podniosłem żadnego. Nie chciałem mieć przy sobie czegoś, co by mi przypominało o tej smutnej chwili.

Ruszyłem w drogę. Znalazłem obozowisko pełne chorych ludzi. Przyjęli mnie. Rozmowa zesłała na Rój.

– Pani wypuściła go, by nas oczyścić – mówił brodaty mężczyzna. – Ci, którzy umierają, padają przed nią na kolana, a potem ruszają w tany. Znika zło, pozostaje tylko taniec. Jesteśmy niegodni, ale kiedyś też będziemy tańczyć.

– Bzdury – zaprzeczyła jedna z kobiet. – Rój nadszedł z chmur. Słyszałam szum z góry.

– Inni ludzie to zrobili – dodał pewien staruszek. – Przylecieli na ogromnych ptakach zza gór i zrzucili truciznę.

– To nie były istoty człowiecze, tylko potwory. Miały ogromne oczy i długie pyski.

– Gdy zobaczycie Panią, zrozumiecie, że to ja mam rację – odezwał się na powrót mężczyzna z brodą.

Słuchając ich, znalazłem kamień. Żółty i kanciasty. Pozwala mi wspominać ludzi, za którymi tęsknię. Ale wiem, że są teraz szczęśliwi, tańcząc z Panią.

8

Miałem dużo czasu. Przekroczyłem Góry Krańca. Zobaczyłem cuda. Nie sądziłem, że mogą istnieć tak duże i piękne budowle. W porównaniu z tą cywilizacją nasza była po prostu żałosna.

Zaczęłam natykać się też na ciała, które miały gigantyczne oczy, a także podłużne paszcze. Jednak okazało się, że to maski, pod którymi kryli się zwykli ludzie. Taka ochrona nie pomogła im uciec przed Srebrnym Rojem.

Znalazłem wtedy kamień. Niemal okrągły, o kolorze trawy. Przypomina mi o ludziach, którzy byli bardziej rozwinięci od nas, ale i tak przegrali z mocą Pani.



Pani czeka na mnie od lat. Niemal słyszę jej śmiech. Prawie czuję oddech na karku i dotyk palców na policzku. Gdzieś na granicy pola widzenia niemalże spostrzegam postać z długą spódnicą łopoczącą na wietrze.

Poczeka jeszcze długo. Czemu? Bo ojciec odwalił kawał świetnej roboty. Przed śmiercią opowiedział mi wszystko. Jednak stworzył sztucznego człowieka, tyle że pokochał go, więc nie oddał władcy. Moja miłość do kamieni? Wiąże się z tym, co ojciec dla żartu umieścił w mej piersi. Poświęcił dla mnie tak wiele. Dla zmyślnego mechanizmu wprowadzonego w ruch. Dla kawałka metalu, w którym tkwi kamienne serce.

Patrzę na kolekcję kamieni. Kiedyś je porzucę. Każde urządzenie musi się przecież zużyć. Wtedy ujrzę Panią Roju w pełnej krasie, ale nie uklęknę przed nią. Wezmę ją za rękę, a potem razem poprowadzimy ludzi ku wiecznemu tańcowi.

## Łukasz Marciniak – Wszystko zależy od punktu słyszenia

Bernard usłyszał alarm, zanim ktokolwiek w Azylu zdołał wychwycić najdrobniejszy szmer wśród drgań powietrza. Gdzieś na granicy percepcji zarejestrował stłumiony dźwięk, który przeplatał się z chrapaniem jego dziadka, Algernona. Staruszek zacharczał i zbudził się z drzemki.

- Słyszysz to? - zapytał Bernard.

Algernon wytężył słuch, ale dopiero po kilku chwilach dotarł do niego odległy jazgot.

W Azylu alarm rozbrzmiewał tak często, że niektórzy zaczęli go całkowicie ignorować. Zapewne ktoś wymknął się na zewnątrz lub po prostu ostrzegano przed nadejściem istot z wielkich pustkowi. Codziennosc. Kto jest na tyle głupi, by opuszczać schron w takiej chwili?

W całym Azylu tylko Algernon widział świat zewnętrzny, chociaż do tej pory skąpił o nim informacji.

- Ech, Bernardzie - westchnął. - Wiesz czego najbardziej w życiu żałuję?

Chłopak wzruszył ramionami.

- Że do końca pozostałem tchórzem. Wybrałem bezpieczną klatkę. Schron. Nie chcę, żebyś zmarnował życie w taki sposób.

Bernard słuchał zmieszany, lecz Algernon kontynuował po kilku chryknięciach.

- Wiele razy mogłem spróbować ucieczki. Teraz jestem już za stary. Pierwsze, co słyszę po przebudzeniu, to kroki zbliżającej się śmierci. Za to ty - wskazał palcem na wnuka - ty nie musisz tu tkwić. I jest coś, o czym nikomu nie mówiłem. Bałem się, ale nie chcę zabierać tego sekretu do grobu.

Umysł Bernarda przestał rejestrować dźwięk alarmu, chociaż ten rozbrzmiewał teraz tak głośno, że każdy mieszkaniec Azylu musiał go słyszeć.

- Jesteśmy tu z powodu klątwy. Klątwy, którą możesz zdjąć. Ale żeby to zrobić, będziesz musiał opuścić schron. Na zawsze.

Ta myśl wzdrygnęła Bernardem i zaczął rozpaczliwie szukać wymówki.

- Dziadku, przecież istoty nikogo nie przepuszczą. To samobój...

- Spójrz na mnie - przerwał mu Algernon. - Żałuję każdej sekundy spędzonej w tej dziurze, a niewiele mi ich zostało. Istnieje sposób, aby się uwolnić. Musisz tylko, ekhm... - Algernon rozkaszał się. - Musisz wyprowadzić upiory poza granicę Miasta Srebrnych Wież.

Bernard zastygł z pytaniem na ustach, ale zauważył, że jego dziadek wskazuje na coś dłonią. W kącie izby leżało pudełko. Przyniósł je Algernonowi, lecz ten powstrzymał go gestem.

- Otwórz je. To, co znajduje się w środku, będziesz musiał zjeść przed wyruszeniem w drogę.

Chociaż przysłowie głosiło, że przed wyruszeniem w drogę należy zebrać drużynę, powaga na twarzy Algernona zdawała się mówić, że połknięcie tego obiektu jest znacznie ważniejsze.

- Nazywają go kamieniem Regota. Pozwala widzieć rzeczy, które zazwyczaj są odrzucane przez umysł.

Bernard przyjrzał się przedmiotowi. Zdecydowanie zbyt miękki na kamień. Ciemny, obły kształt mieścił się w jego dłoni.

- Zazwyczaj boimy się tego, czego nie widać - kontynuował Algernon. - Ale kiedy już zobaczysz istoty, nie próbuj walczyć. Nie uciekaj. Masz im spojrzeć w oczy i poddać się, a wtedy one poddadzą się tobie. Nie pozwalaj im odejść. Same odejdą w odpowiednim momencie.

Wzrok Algernona utkwiał w martwym punkcie, a jego świadomość zaczęła błądzić w meandrach wspomnień. Po chwili cmoknął, jakby jakiś trybik w jego mózgu właśnie się odblokował.

- Pamiętasz jeszcze kołysankę, którą nuciła ci kiedyś mama? Nauczyła się jej ode mnie. Chciałbym, żebyś nosił tę melodię w pamięci.

Bernard nic z tego nie rozumiał, ale dziadek widząc zmieszanie wnuka, uśmiechnął się i powiedział:

- Poradzisz sobie. Pamiętaj, co ci mówiłem o upiorach.

Bernard został jeszcze chwilę przy dziadku, który wkrótce zasnął. Dźwięk alarmu ucichł.

Algernon zmarł dwa dni później. Jego wnuk nadal próbował przetrwać górę nowych informacji, ale postanowił wykonać ostatnią wolę dziadka i jak najszybciej opuścić schron. Kiedy nikt nie kręcił się przy wyjściu z Azylu, zaczął mocować się z wielkim głazem, który ustąpił po dłuższym wysiłku. Bernard przeżuł kamień Regota i ruszył w drogę.

Kręty tunel prowadził w górę, ale w końcu pojawił się pas bladego światła na ziemi. Otwarta przestrzeń. Tym razem nie trzeba było wielkiego wysiłku, aby skruszyć resztki zmurszałej ściany.

Widok na Miasto Srebrnych Wież sprawił, że Bernarda na chwilę opuścił strach. Po obu stronach szerokiej drogi znajdowały się rzędy słupów różnych rozmiarów. Srebrne wieże. Najmniejsze były wielkości wędrowca, a największe tak wysokie, że ledwo sięgał wzrokiem ich szczytu. Powoli ruszył przed siebie.

Wokół panowała głucha cisza, a żadnych istot nie było widać. W oddali widniały dwa rzędy wież, które w przeciwieństwie do pozostałych były kanciaste i ciemne. Miały jednak wspólną cechę z resztą budowli - nie posiadały drzwi. Bernard zastanawiał się, w jaki sposób upiory przedostają się do wnętrza wież. Wpełzają przez podziemia? Latają? Nie potrafił wymyślić żadnej sensownej odpowiedzi. I wtedy po raz pierwszy poza Azylem usłyszał alarm.

Dźwięki zaatakowały jego słuch znacznie mocniej, niż się spodziewał. Stał na środku drogi, zupełnie osłupiały, z sercem bijącym jak dzwon. Chciał się schować za jedną z wież, ale przypomniał sobie radę dziadka. "Nie próbuj walczyć, nie uciekaj". Czekał na bieg wydarzeń.

Pierwsza istota uniosła się w powietrzu nad jedną z pobliskich budowli. Wyglądała jak smuga dymu z twarzą podobną do ludzkiej, ale nienaturalnie ściągniętą w dół, tak że oczodoły sięgały do wysokości ust. Pojawiło się więcej upiorów. Otaczały Bernarda ze wszystkich stron, ale on walczył jedynie ze swoim instynktem przetrwania. Spoglądał istotom prosto w oczy, jakby chcąc im dać do zrozumienia, że znaczą dla niego mniej niż natrętne muchy.

Bernard ruszył w stronę bramy Miasta Srebrnych Wież, która dorównywała wysokością najwyższym z budowli. Przeszedł przez szczelinę uchylonych wrót.

\*\*\*

Kiedy z bocznego wejścia do wnętrza organów wyskoczyła mysz, siedzący przy kontuarze muzyk nawet nie zwrócił na nią uwagi. Gryzonia dręczyły upiory, których nikt poza nim nie widział, więc ogrom katedry nie zrobił na nim szczególnego wrażenia. Na dobrą sprawę nie wiedział gdzie teraz iść i zaczął błądzić po wnętrzu kościoła.

Tymczasem organista wykonał już kilka utworów. Może fakt, że żaden człowiek go nie słuchał, sprowadził na niego rozleniwienie, ale uznał, że zagra jeszcze jedną, najprostszą etiudę i skończy dzisiejszą porcję ćwiczeń.

I wtedy do uszu myszy dotarła znajoma melodia. Kołysanka, o której mówił jej dziadek tuż przed śmiercią. Gryzoń przypomniał sobie odległe wspomnienia z dzieciństwa i nawet nie zauważył, jak upiory odstępują go, wracając do wnętrza organów.

W dźwięki etiudy wplótł się potworny dysonans. Organista osłupiał ze zdziwienia i odskoczył od klawiatury. Kiedy się obrócił, zobaczył, że na środku nawy stoi człowiek i dopiero po chwili poznał w jego twarzy coś znajomego. Przypomniał sobie wypowiedziane dwa lata temu słowa. "Prędzej zacznę fałszować własną etiudę, niż zdejmę klątwę z twojego rodu".

Ogarnięty przerażeniem organista wybiegł z katedry, a Bernard w ludzkiej postaci stał na środku, wlepiając wzrok w instrument, za którym jeszcze niedawno mieszkał. Podeszedł do kontuaru i zaczął grać. Muzyka z jego palców spływała z taką łatwością, jakby sam Algernon, przeklęty przez rywala kompozytor, brał udział w jej tworzeniu.

Dźwięk alarmu rozbrzmiewał we wnętrzu katedry. Bernard znowu słyszał go znacznie lepiej niż jakikolwiek mieszkaniec Azylu.

## Alicja Wojciechowska – Audycja u Lorda Czasu

Melrik rozejrzał się po zrujnowanej sali biesiadnej, nie dając się przytłoczyć grobowej atmosferze otulającej omszałe mury szczelniej niż porozwieszane wszędzie pajęczyny. Na pierwszy rzut oka w zamku nie zmieniło się nic przez ostatni miesiąc od jego wizyty. Ta sama ciemność rozświetlana jedynie anemicznymi płomykami liżącymi spróchniałe pochodnie, ten sam słodkawym odór rozkładu, to samo uczucie wszechogarniającej stagnacji. Melrik wolał jednak zachować ostrożność. Ścisnął mocniej rękojęść sztyletu, który trzymał w spoczonej dłoni.

Melrik ruszył naprzód, miarkując kroki, aby nie nadepnąć na drzazgi połamanych krzesel, strzępy przegniłych gobelinów ani na powyginane srebrne sztuce, które już dawno utraciły swój blask. Wśród martwej natury zniszczenia nie dostrzegł ludzkich zwłok, ale to o niczym nie świadczyło. Mogły już dawno rozsypać się w proch, który chrząścił mu teraz cicho pod stopami.

Poprawił chustę zakrywającą mu nos i usta, starając się choć trochę ochronić przed wszechobecnym kurzem. Wystuzona lekka zbroja okrywała jego wytrenowane ciało, lecz mimo to chłód przenikał go aż do szpiku kości. W ruinach zamku hulał wiatr, zawodząc jak potępione dusze, gdy prześlizgiwał się między szparami w nadkruszonych murach.

Melrik szedł przed siebie, nie zwalniając. Wolną dłonią sięgnął machinalnie do płóciennego woreczka zawieszzonego na szyi. Przejechał palcem po materiale, wyczuwając pod nim ostre krawędzie klejnotu wielkości pięści dziecka. Melrik nie musiał wcale go wyciągać — wciąż miał przed oczami jadowicie zielony blask kamienia, jakby pulsował magią z dawnych dni. Nigdy nie zapomni tej niezdrowej poświaty. Promieniowała mu pod powiekami, wypalona tam na wieki wieków.

Melrik przeciął zrujnowany korytarz i dotarł do kręconych schodów prowadzących do wieży. Stopnie były tak wąskie i strome, że musiał stawiać stopy w poprzek i trzymać się przerdzewiałej poręczy, aby nie spaść. Wspinaczka zajęła mu niemal dziesięć minut wytężonego wysiłku. Stanął na szczycie wieży, oddychając ciężko. Miesiąc temu, gdy znalazł się tu po raz pierwszy, przeżył szok. Mity ożyły na jego oczach i nabrały ciała. Teraz tylko obrzucił pomieszczenie obojętnym wzrokiem człowieka, który widział już wszystko.

Nie wiedział, jakich czarów tutaj użyto, ale wymykały się pojnowaniu. Komnata była zdecydowanie większa, niż śniło się budowniczym tego miejsca. Ciągnęła się przynajmniej na sto metrów, będąc wąską może na pięć. Wielkie łuki okien ozdobione girlandami powojów wychodziły na szarą kipieli pustki.

Melrik ruszył naprzód. Wszystko w tej sali wyglądało na nowe, świeże, żywe — kwiaty, ściany, żyrandole z tysiącami nieskalanych nawet jednym zaciekiem świec. Kontrast tym wyraźniejszy i bardziej przerażający, że reszta zamku niemal obróciła się w perzynę.

Melrik uparcie zmierzał w stronę złotego tronu na drugim końcu komnaty. Leniwie rozparty wpółleżał na nim pan na włościach, Lord Czasu. Ubrany w najprzedniejsze szaty młodzieniec o srebrnych włosach uśmiechał się tajemniczo. Jego oczy w kolorze jednolitej szarej pustki, tej samej co wokół wieży, zdradzały, że nie jest człowiekiem.

Lata morderczego treningu i niezliczone zlecenia wypełnione w służbie elitarnej gildii skrytobójców nauczyły Melrika nie okazywać poruszenia. A jednak patrząc na tego młodego mężczyznę, czuł głęboki niepokój. Obcował z pierwotną siłą, która śmiała się ludzkości w twarz od zarania dziejów.

Melrik przeniósł wzrok na wielkie lustro stojące obok tronu. Jego tafla była martwa, odbijając jedynie dalekie echo szarej pustki z oczu Lorda Czasu. Młodzieniec bosą stopą niedbale trącał ramę, wprowadzając w ruch dziesiątki przytwierdzonych tam małych klepsydr. Przesypujący się w nich piasek wygrywał upiorną symfonię wieczności. Pomiędzy klepsydrami błyszcząły liczne kamienie szlachetne, każdy jaśniejący wewnętrznym nadnaturalnym blaskiem.

Młodzieniec nie odzywał się. Melrik pierwszy przerwał ciszę. Słowa stłumione przez chustę na jego twarzy i tak poniosły się echem po sali.

— Przyniosłem to, co chciałeś. — Melrik chwycił woreczek i zerwał go z szyi zdecydowanym ruchem. Położył go na dłoni, wyciągając w stronę Lorda Czasu.

— Nigdy nie wątpiłem, że to zrobisz. — Głos młodzieńca był miękki i delikatny, lecz brzmiał w nim ciężar wieków. Nie ruszył się po trodeum.

— Zrobiłem, co miałem. Teraz ty dotrzyмай swojej części umowy.

Młodzieniec zaśmiał się lekko. Melrik stracił cierpliwość. Wysupłał kamień z woreczka i cisnął go ze złością w stronę Lorda Czasu, który złapał go jednak bez trudu. Uśmiechał się, podrzucając skarb i waząc go w dłoni.

— Ach, tyle śmierci i zniszczenia, żeby dostać tę błyskotkę. Powiedz, Melriku, było warto?

— Po prostu daj mi to, czego chcę.

— Włamanie do królewskiego skarbca — kontynuował, niezrażony — kradzież klejnotu, a potem rozpaczliwa ucieczka po trupach. Ile osób wtedy zabiłeś? Ilu poświęciłeś dla tej błyskotki?

— Tylu, ile trzeba.

— Ilu ludzi zabiłeś w całym swoim życiu? Stu? Dwustu? Czy jesteś w ogóle w stanie podać liczbę?

— Daruj sobie — warknął Melrik. — Do rzeczy.

Lord Czasu przyglądał mu się z niegasnącą ciekawością.

— I nie interesuje cię, do czego potrzebny mi ten kamień?

— Nie.

— A co jeśli chciałbym za jego pomocą zniszczyć świat? Nie obesłoby cię to, Melriku?

— I tak mógłbyś to zrobić. Skończ te gierki. Dotrzyмай swojej części umowy. Daj mi spojrzeć w Otchłań Czasu.

Młodzieniec roześmiał się niefrasobliwie.

— Dobrze. Skoro pragniesz tego tak mocno. — Machnął od niechcienia dłońmi. Tafla lustra zbudziła się do życia. Tworząca ją szarość zaczęła napępniać się kolorami. — Podejdz i powiedz, co chcesz zobaczyć.

— Wiesz, co chcę zobaczyć.

— Owszem. Ale powiedz to do lustra.

Melrik zapatrzył się w głębię. Ona chyba też patrzyła w niego, lśniąc równie intensywnie co oczy młodzieńca.

— Pokaż mi, jak umrę.

Lustro zawirowało, kolory nabrzmiały i pękły, krwawiąc obficie barwą. Plamy wyostrzyły się, formując powoli konkretny obraz. Melrik wstrzymał oddech.

Widział wyniszczonego życiem starca przykrytego po szyję kołdrą. Z trudem łapał oddech bezzębnymi ustami. Oczy zaszyły mu bielmem, a wysuszona skóra łuszczyła się płatami. Wysłużone łóżko skrzyknęło przeciągle, gdy oddał ducha.

Melrik uśmiechnął się.

— Czy ta przyszłość jest pewna?

— Tak. Lustro nie kłamie. Kamień przypieczętował twój los.

— A więc umrę jako staruch, jakieś pięćdziesiąt lat od teraz, przeżywszy swoje życie w pełni. To właśnie chciałem usłyszeć. Nim nadejdzie mój czas, nikt nie stanie mi na drodze, nikt mi nie zagrozi.

Nie pożegnawszy się, Melrik opuścił komnatę tanecznym krokiem, niesiony jak na skrzydłach poczuciem niewyciężoności.

\* \* \*

Lord Czasu uśmiechał się do siebie, odprowadzając gościa wzrokiem. Podrzucał kamień w dłoni raz po raz. Nie działała na niego magia promieniowania z dawnych wieków zaklęta w klejnocie, lecz Melrik wkrótce odczuje negatywne skutki noszenia trofeum na piersi. W przeciągu miesiąca, nie więcej, pozostanie z niego wysuszony staruszek, który odda w samotności swój ostatni oddech po strasznych cierpieniach.

Czas jest okrutnym i przewrotnym zabójcą.

Młodzieniec podniósł się z tronu i umieścił kamień na ramie lustra pośród innych klejnotów — pamiątek po zbłąkanych duszach, które chciały oszukać czas.

## Katarzyna Hajok – Oko za oko

- Marion wróciła.

Słyszę, ale nie reaguję. Siedzę na pryczy, w wątłym świetle po raz kolejny zaczytuję się w książce z wytartą okładką. Myśl o powrocie Marion jest tak nierealna, że w pierwszej chwili biorę ją za element fantastycznej opowieści, którą mam przed oczami. Realne są bunkry, beton i co rusz gasnąca żarówka, a nie ona.

- Feliks? Marion wróciła.

Podnoszę wzrok. Ertes jest blady.

Urodziła się tuż przed północą ostatniego dnia grudnia. Innymi słowy, zabrakło jej kilku sekund. Gdy nadpłynął księżyc Xia i wybuchła panika, nas wszystkich od rocznika dwa dwa-dzieścia wzwyż, włączając w to ją i mnie, wzięli do wojskowej akademii.

Już wtedy Ertes mówił, że mam przechlapane.

- Ta twoja dziewczyna wpędzi cię w kłopoty. To kobieta z obsesją. Z takimi zawsze jest najtrudniej.

Marion miała obsesję, nie przeczę. Co ją plotę, to była żądza, pasja, fanatyzm. I wszyscy to wiedzieli, bo gdy szła korytarzem, odwracali się za nią, by zerknąć na jej oko – a raczej na jego brak.

Każdy w bloku słyszał, co zrobiła, lecz ja pierwszy dowiedziałem się, dlaczego znalazła właz, wykiwała strażników, wyszła na górę, a potem zasłoniła sobie jedno oko, by nie oślepnąć całkowicie i spojrzała w niebo drugim.

- Warto było – wyznała. – Jest piękny. Nawet sobie nie wyobrażasz. Świeci na zielono.

- Marion, on jest zielony od torbenitu i wypala dziury w oczach pieprzonym ultrafioletem.

- On tu nie przybył bez powodu. Wiem, że rząd zlecił badania. Mnie się wydaje, że to bardzo ważne, by... Słuchaj, czuję, że wiem, gdzie zacząć, tylko potrzebuję... Och, potrzebuję go zobaczyć jeszcze raz.

- Na ten księżyc nie da się patrzeć, Marion.

Nie odpowiedziała. Padła na kanapę, a zdrowe oko utkwiała w suficie bunkru, w którym cała ludzkość, a przynajmniej ci, którzy zachowali krztynę zdrowego rozsądku, siedzieli już od dwóch lat.

Niedługo później do rządu dotarło, że potrzeba im więcej badaczy na powierzchni. Szukali wśród nas ochotników, takich z mózgiem, a nie muskułami. Marion była pierwsza w kolejce. Była pełnoletnia, ostrzegli ją, z czym to się wiąże.

Powiedzieć, że ja ją ostrzegłem, to za mało.



- Pod ziemią oszaleję – uciszyła mnie na parę minut przed wymarszem. – To jedyne wyjście.

Nie wiem, czy naprawdę zerwało im łączność. Szare megafony informowały nas, że większość wygenerowanej energii idzie na walkę z Xia. Zostaliśmy niemal bez wieści. Ci, którzy zostali w schronie, tworzyli jeden świat. Ci, którzy wyszli na powierzchnię, stali się drugim.

Tak minęło lat osiem. Czas bez Marion płynął o wiele wolniej.

Zapomniałem odłożyć książkę, wciąż trzymam ją, gdy Ertes otwiera drzwi do kuchni.

Marion siedzi na końcu ławy. Koc zsuwa się z jej ramion. Przed nią stoi kubek herbaty, ale głowę ma schyloną. Może wdycha opary wrzątku, a może śpi.

Podchodzę cicho, przysięgłbym, że bezszelestnie, bo tego wojsko zdołało mnie nauczyć. Ale wtem ona podnosi głowę i przysięgłbym, że koniuszek jej ucha nadstawia się w moją stronę.

- Wrócili całą grupą – mówi Ertes. – Było ich dość trudno znaleźć. Nie bardzo wiedzieli, jak nas nakierować.

Dłonie Marion lekko drżą, gdy ta chwyta parujący kubek.

Moje nogi zmieniają się w galaretę.

Marion trzyma głowę prosto, ale nie patrzy na mnie i już nigdy nie spojrzy. Jej granatowe tęczówki znikły. Źrenice skurczyły się do rozmiaru szpilek. A reszty... po prostu nie ma. Na obu jej oczach wykwitły białe plamy ślepoty.

- Feliks? – pyta.

Ociera sobie policzki. Z jej oczu wycieka coś zielonego. To nie łzy.

- Feliks... Xia zniknął. Zaczynają wysyłać was na górę, pewnie też dostaniecie wezwanie. Zniknął, Feliks, rozumiesz? Nie ma go. Taki był piękny. A myśmy go...

- Coś ty zrobiła?

Wstaję, zataczam się, podpieram o Ertesa. Marion błądzi oczami i szuka może mojej twarzy (wątpliwe), a może zrozumienia (żałosne). Otwiera usta i milczy.

Nie na to się zgadzałem, Marion. Na to... nigdy.

Naukowiec o oczach mętnych jak mleko pojawił się na pierwszych stronach podziemnych gazet, a my, porządni wojskowi wciąż władający zmysłem wzroku, zaczęliśmy wychodzić i czyścić teren. Księżyc rozpętał się na miliardy fragmentów. Ktoś musiał posprzątać te, które spadły na ziemię.

Teraz to ja siedziałem na górze, a Marion zbierała nagrody za zasługi dla świata na dole. Nawet nie wiem, jak go zniszczyli, nie obchodzi mnie to. W dupie mam, co znaczą refrakcja i rozszczep. Ważne, że ktoś musi ogarnąć ten syf. Oczywiście, są syfy, których się nie posprząta. Męty w oczach. Wyżarte tęczówki.

- Nie, ja nie mogę z nią siedzieć – szeleści Ertes przez komunikator. – To jest chore, Feliks, ta kobieta ma popieprzone w głowie. Nie przestaje nawijać o zielonym świetle.

- Prosiłem cię.

- Tu na dole też jest od cholery roboty! Ja chcę się wyspać, a ona gada przez sen. Nawija, że chce uciec i że jeszcze nam pokaze. Niech znajdzie inne mieszkanie. Feliks, ja nie chcę problemów.

- Cicho.

- W sumie, Feliks...

- Coś tu jest.

Wyciszam głośnik i zaciskam dłonie na kałasznikowie. Czegokolwiek chce Ertes, to on siedzi w bezpiecznym schronie.

Jest cicho. Drzewa poradziły sobie pod naszą nieobecność. Nadal rosną, choć ich liście są ja-skrawozielone. To przez filtr w okularach ochronnych, których nie zdejmuję nawet do snu i których nie zdejmę być może do końca życia.

Wtem spomiędzy paproci startuje stadko ptaków.

- Niech to.

Włączam głośnik z powrotem.

- Ertes?

Nie ma odpowiedzi.

- Ertes?

Nie biegłem tak szybko nigdy w życiu. Ścieżka, połamane gałęzie, mech, czarne niebo, bezpańskie psy, paprocie –

- Co się dzieje w bazie? – krzyknąłem, gdy tylko namiot zamajaczył w dali.

- Też straciłeś łączność?

Mało sobie nie wyplułem płuc od sprintu. Skinąłem głową.

- Blok C nie odpowiada. Ertes nimi zarządza?

Nagle mój komunikator zabrzęczał.

- Ertes? – kaszlę. – Ertes?

- Feliks?

Drobinki zimna powoli nakłuwają mi kręgosłup.

- Marion, zawołaj Ertesa.

- On uciekł.

- Co?

- Chciałam mu pokazać. Feliks, on jest piękny. Tak ślicznie świeci. Pomyślałam, że każdy musi zobaczyć.

Zaraz.

- Co?

- Ja... Obiecasz, że nikomu nie powiesz? Wzięłam ze sobą próbki. Ukryłam je, kiedy pracowałam w laboratorium. Miałam takie małe ołowiane pudełko i wiem, że będziesz zły, ale było schowane w moich rzeczach, a ja dziś tak tęskniłam, że je otworzyłam. Nadal świeci na zielono. Pomyślałam, że wszyscy muszą się dowiedzieć, więc wzięłam pudełko i pokazałam tej miłej pani, tej... Tej, co mieszka na prawo od nas. I temu dzieciakowi, co roznosi jedzenie. A potem poszłam do bazy i Feliks, wszyscy się zgodzili, że on jest cudowny...

- To niemożliwe – słyszę obok. – Komputer zwariował. Według niego w całym bloku mutuje torbenit.

- Infekcja?

- Epidemia. Cholera, to niemożliwe!

- Feliks, chodź do mnie – zaszemrała słuchawka. – Ja wiem, że kiedy go zobaczysz, od razu zmienisz zdanie. Proszę. Tak bardzo za tobą tęskniłam.

Tym razem już nie padam, nie mdleję, nie chcę krzyżeć. Wiem, co trzeba zrobić.

Muszę wyciągnąć słuchawkę z ucha, przekazać ją majorowi i powiedzieć, co się stało. Powiedzieć, że musimy zabezpieczyć blok. Powiedzieć, że to nie może przedostać się dalej.

Zaraz to zrobię. Zaraz przestanę jej słuchać. Jeszcze tylko kilka sekund spędzonych z jej głosem, a potem to zakończę, zanim my też przestaniemy cokolwiek dostrzegać.

- A ja go widzę – szepcze Marion. – I pokazałam go wszystkim.

## Dagmara Leśniak – Pasja i kara

Od kiedy pamiętam, uwielbiałem pisać. Najczęściej próbowałem swoich sił w fantastyce. Wiedziałem, że żaden ze mnie Tolkien, ale pisanie sprawiało mi ogromną przyjemność, której – niestety! – nie potrafiłem sobie odmówić. Jednak pewnej nocy stało się coś, co sprawiło, że do dziś na widok zwykłego długopisu albo otwartego edytora tekstu oblewam się zimnym potem. Niech moje słowa, wystukiwane drżącymi rękami, staną się przestrogą dla wszystkich pisarzy-amatorów i gryzieliórków tego świata...

– Wstawaj! Wstawaj, ty podły...

Mlasnąłem przez sen, zastanawiając się, czy ktoś krzyczy, czy tylko mi się wydaje.

– Wstawaj natychmiast!

Brutalne szarpanie cierpliwie przywracało mnie światu.

– C-coo...?!

Gdy rozwarłem powieki, ujrzałem nad sobą burzę blond włosów i magiczne, niebieskie oczy, jakich próżno szukać na całym Instagramie. Oczarowany i zaintrygowany, pokręciłem głowę i zamrugałem, by upewnić się, że to jawa.

– Kim jesteś?! – wykrztusiłem.

– Jak to? Nie poznajesz? – Dziewczyna, a raczej młoda kobieta, uśmiechnęła się szyderczo i nagle jej twarz znalazła się dziwnie wysoko ponad moją. Wrzasnąłem z przerażenia.

Na pierwszy rzut oka przypominała ludzką kobietę, choć w jej sylwetce było coś karykaturalnego: miała niezwykle krągłe pośladki i nad wyraz obfity biust, a do tego długie, smukłe nogi, pomimo niskiego wzrostu. Jednak tym, co doprowadziło mnie na skraj obłędu, był fakt, że unosiła się w powietrzu na cienkich, niemal przezroczystych skrzydełkach.

– To ja! – wyszeptała złowieszczo. – Jesica!

– Ja-jaka...

Zamarłem, bo nagle zrozumiałem.

Mając lat naście, kierowany mą zgubną pasją, popełniłem opowiadanie, które teraz wydaje mi się wręcz zbrodnicze – zbrodnicze wręcz! Jego akcja rozgrywa się w idyllicznej krainie, zamieszkałej przez wróżki, które z wyglądu mogą kojarzyć się z greckimi boginkami, lecz noszą amerykańskie imiona, zadziwiającą współczesne. Żyją one na dziewiczej, pacyficzno-pirenejskiej wyspie, wśród zielonych wzgórz i kwiecistych łąk, prowadząc życie rajski żywot – oczywiście do czasu. Pewnego dnia na wyspę przybywa podróżnik z innego wymiaru: Adam Smith, genialny naukowiec i nieustraszony odkrywca, lecz także brzydka, cham i zboczuca. Rzecz jasna, piękne i niewinne wróżki, hojnie obdarzone przez naturę, rozpalają w nim niepohamowaną żądzę. Wkrótce zakochuje się do szaleństwa w królowej, mądrej i odważnej Jesice (przez jedno „s”). Odrącony, knuje intrygi i wypłuka z siebie groźby, które zaczyna stopniowo wcielać w życie. Sytuacja staje się dramatyczna, jednak Jesica, zdeterminowana, by

ochronić swe poddane – a przy okazji swą cnotę – zastawia na Smitha pułapkę i unicestwia drania.

Ze swoją naiwną fabułą, infantylnym poczuciem sprawiedliwości i wątpliwą estetyką, przeplataną młodzieńczymi perwersjami, była to, krótko mówiąc, pisarska kompromitacja, hańba i sromota.

– Co się dzieje?! – wyszeptałem, nieruchomy niczym mumia. – Gdzie ja jestem?!

– Na kartach Księgi.

– Na kartach...?! – Moja wyobraźnia podsunęła mi straszne wizje. – Czy zamieniliśmy się miejscami?!

– Ależ skąd – wycedziła. – Rozejrzyj się.

Uniosłem się na łokciach. Rzeczywiście, leżałem na pergaminowych stronicach olbrzymiej, otwartej księgi, otoczony przepastną, kryształową kopułą, przez którą przebijał błękit nieba.

– Co to za miejsce?!

– Wstawaj – syknęła i podleciała, by pociągnąć mnie za ramię. – Nie ma czasu do stracenia. Wyjaśnię ci wszystko po drodze.

Chwilę później pędziłem w dół wzgórza, obserwując z fascynacją niezgrabny lot mej przewodniczki.

– Pisząc swoje marne opowiadanie, stworzyłeś ten świat i powołałeś do życia wszystkich jego bohaterów.

– Że co?! – parsknąłem. – Przecież to śmieszne!

– Śmieszne? – warknęła, obracając się przez ramię. – Myślisz, że czemu pisarzy nazywa się twórcami?!

– To tak nie działa!

– Czyżby?!

Znów zdjęło mnie przerażenie, przypomniałem sobie bowiem kilka innych moich opowiadań; niektóre opisywały światy pełne niesprawiedliwości i okrucieństwa.

– Pewnie myślisz, że sprytnie rozwiązałeś sprawę Smitha...?! Otóż nie! Zboczeniec szczeł, ale został po nim jego statek. Przez kilka lat wszystko było dobrze, ale ostatnio dzieje się coś złego.

Zanurzyliśmy się w gęstym lesie, nie zwalniając tempa.

– Módl się, żeby nie zauważyła cię żadna wróżka!

– Dlaczego?!

– Bo rozszarpią cię na strzępy.

– Ale dlaczego?!

– Dlaczego?! – Obróciła się w locie, by obdarzyć mnie wściekłym spojrzeniem. – Bo stworzyłeś nas do fruwania, nucenia i wączania kwiatków! Nie mamy nic do roboty, ani pracy, ani żadnej rozrywki! Zamiast rzeki – cherlawe źródelko! Dobrze, że mamy co jeść! Maliny i czereśnie, no ile można! – skrzywiła się. – A przecież wróżka też człowiek! Ależ bym wszamała schabowego – rozmarzyła się.

Zadyszka i klucie w boku były niczym w porównaniu do miazdzącego uczucia wstydu, jakie mnie wtedy przygniotło. Oto zrozumiałem, że moje niezdarne próby literackie skazały na udrękę niezliczone istnienia. Chciałem zapaść się pod ziemię. Nie mogłem jednak powstrzymać się przed zadaniem nurtującego mnie pytania.

– Co to za księga?!

– Podejrzewamy, że to coś w rodzaju rdzenia albo silnika, który napędza nasz świat.

Pokręciłem z niedowierzaniem głową, lecz nie miałem czasu, by się nad tym zastanawiać. Wybiegliśmy właśnie na plażę, gdzie w moje uszy uderzyło głośne, natrętne buczenie. Przed nami wylegiwał się wydłużony dysk z ciemnego metalu. Statek Smitha był zadziwiająco podobny do Sokoła Millennium, z tym że był o wiele mniejszy. Z zażenowaniem dostrzegłem na jego tyłach coś w rodzaju otwartej klapy samochodowej. Właśnie do niej skierowaliśmy nasze kroki. Zajrzałem do środka.

– Zaraz, zaraz – wyjąkałem. – Przecież to...

– Ultra-super-hiper reaktor – dokończyła za mnie wróżka.

– Zbudowany z non-findium – przypomniałem sobie. – Sam się ładuje. Nieużywany, musi w końcu wybuchnąć.

Przyglądałem się z rozpaczą węzowisku rur, kabelków i złączy, odchodzących od napuchłego sześcianu, rozpalonego do czerwoności i pulsującego. Jęknąłem i popędziłem do kokpitu, gdzie zastałem setki kolorowych guzików, wajch i pokręteł.

– Próbowałaś coś z tym zrobić?!

– Wciskałam już wszystkie po kolei! Poza tym wielkim czerwonym, oczywiście!

Bez większej nadziei odszukałem wzrokiem opisywany przycisk i nachyliłem się, by lepiej mu się przyjrzeć. Widniały na nim trzy wielkie, czarne litery: jedno „O” i dwa „F”. Wahałem się tylko przez chwilę.

Buczenie zaczęło cichnąć. Jesica wpadła do kokpitu z pytaniem i nadzieją w oczach.

– Przepraszam – zajęczałem. – Mogłem nauczyć was czytać.

Po tym wszystkim zamknąłem się w sobie. Bałem się liter, drżałem przed słowami, zdania wywoływały we mnie panikę. Przestałem zapisywać cokolwiek. Unikałem nawet listonosza, nie śmiąc złożyć podpisu na potwierdzeniu odbioru. Po obejrzeniu *Matrixa* rzuciłem studia informatyczne i zostałem ogrodnikiem.

Pojąłem, że pisząc, tworzę, buduję, kształtuję i ustanawiam; że nieprzemysłane decyzje i wybrakowana wiedza mogą być katastrofalne w skutkach, a ubóstwo języka i wyobraźni może

pozostawiać niedosyt; że nie wystarczy pasja, bo pisanie to ciężka praca, a zła literatura potrafi być bolesna.

Przypuszczam, że nadejdzie taki dzień, gdy znów wzbiję się w niebo i poszybuję w ekstazie ku utęsknionej wolności tworzenia. Najpierw przestudiuję jednak kilka map. I sprawdzę prognozę pogody.

## Szymon Smoliński – Zegarmistrz

Wielki zegar wskazywał dziesięć po trzeciej. Nigdy nie widziała, żeby jego wskazówki się poruszały, jednak za każdym razem, gdy pojawiała się u starego, znajdowały się one w innym położeniu. Zmarszczyła brwi, nakładając malutkie, zębate kółko na mosiężny wałek i uśmiechnęła się, słysząc, jak mechanizm budzi się do życia, cichutko tykając, jakby próbował ogłosić światu, że powrócił i ma się dobrze.

Często pomagała staremu w naprawie zegarów. Odkąd pamięta, przychodziła do jego niewielkiego domku z brudnych cegieł i wpatrywała się niczym zaczarowana w tarcze oraz na zapisane na nich liczby. Gdy nieco podrosła, szybko nauczyła się, jak zapanować nad zębnikami, wahadłami czy wychwytnymi, prawdziwą magię czynił jednak właśnie stary. Niektóre zegary potrzebowały bowiem nieco więcej, niż wprawna dłoń. Potrzebowały czarów. Początkowo kazał jej opuszczać dom za każdym razem, gdy używał zaklęć, z czasem jednak nauczył się tolerować jej obecność. Błękitne i fioletowe iskry tańczyły dookoła martwych wskazówek, by chwilę później tchnąć w nie energię. To było piękniejsze niż wszystko, co widziała w życiu. Jej samej nigdy nie udało się rzucić uroku, choć próbowała niejednokrotnie – tylko jej matka wiedziała, ile na jej półkach znajduje się pożółkłych pergaminów ze starymi zaklęciami. Najwidoczniej nie posiadała mocy, co mogła nadrobić jedynie swoją determinacją i okiem do detali.

\*

Wielki zegar wskazywał za piętnaście pierwsza, gdy pojawiła się w domu starego. Na dębowym stole było wyjątkowo pusto, tylko jedna samotna lakierowana kukółka, leżąca nieprzytomnie w rogu blatu. Stary gorączkowo majstrował przy wskazówkach wielkiego zegara, szepcząc tylko sobie znane słowa. Widziała, jak wykonane z brązu liczby mienią się czerwienią i purpurą, gdy nasycano je mocą.

– Już wkrótce – mruknął, nie odwracając się do dziewczyny nawet na moment, choć czuła, że mówi do niej. Chciała zadać pytanie, ale powstrzymała się w ostatnim momencie – zdawała sobie sprawę, że i tak jej teraz nie odpowie. Podeszła tylko do drobnej figurki ptaka i spojrzała w jej smutne oczy. Kiedy nacisnęła jego głowę, lewe skrzydło uniosło się – mogła zauważyć rysy na jego wewnętrznej części. Cmoknęła, widząc, że drugie ze skrzydeł odmawia współpracy. Stało przed nią wyzwanie.

Często zastanawiała się, skąd wzięło się w niej zainteresowanie mechanizmami. Z pewnością nie po matce, która zajmowała się szyciem, z kolei o ojcu nie wiedziała za wiele – mówiono jej, że był myśliwym, który pewnego dnia po prostu nie wrócił do domu. Była wtedy zaledwie niemowlęciem.

Dotyk maszyn sprawiał jej przyjemność. Chłodny metal pulsował pod jej rękoma, ożywał, a razem z tym biciem mechanicznego serca mocniej biło jej własne. Kiedyś pragnęła zostać czeladnikiem u jednego z miejskich mistrzów, jednak każdy ją tylko wyśmiał. Dla kobiet nie ma miejsca w rzemiośle. Od całkowitej porażki uchronił ją tylko stary. Przynajmniej tak myślała, bo nigdy nie ustalili, jaką rolę ma pełnić w jego warsztacie i tak naprawdę zajmowała się tam tym, co akurat pozostawało do zrobienia. Stary nie mówił wiele i oczekiwał, że ona także



odwzajemni tę ciszę, przerywaną jedynie przez rytmiczne tykanie wszechobecnych zegarów. Nie przeszkadzało jej to.

\*

Wielki zegar wskazywał dwie minuty po dwunastej. Przemoczona i wychłodzona, dziewczyna zdziwiła się, wchodząc do warsztatu i nie zastając w nim starego. Rzadko wychodził z domu, tym bardziej w taką pogodę. Rozejrzała się jeszcze po jego sypialni, choć nie bez poczucia wstydu, ale tam również go nie zastała. Westchnęła cicho, ścierając zimne krople z czoła. Na stole nie czekał na nią żaden zegar, żadna kukółka – nawet ta, którą naprawiła kilka dni temu, najwidoczniej już odleciała. W domu starego nic nie przebywało wiecznie. Z wyjątkiem wielkiego zegara. Podskoczyła, widząc, jak jego wielka wskazówka minutowa drgnęła i przesunęła się do tyłu. Ostrze wskazówki znajdowało się prawie na godzinie dwunastej, przypominając uniesiony miecz, w każdej chwili gotów opasć na przeciwnika. Podeszła bliżej, ostrożnie, jakby bojąc się ciosu. Z jej ust unosiła się para, tworząc niewielką mgłę, zdołała jednak dostrzec błysk karmazynowego światła, który przemknął prawie niepostrzeżenie po masywnej tarczy. Była pewna, że właśnie jest świadkiem czegoś, nad czym stary pracował przez długie lata, jednocześnie też czuła, że to jest również powodem jego nieobecności.

Mosiężna wskazówka drgnęła ponownie, dołączając do położonej na dwunastej wskazówki godzinowej. Pomiedzy nimi przeszła kolejna iskra, tym razem złota, i nagle obie wskazówki zaczęły cofać się równocześnie. Minuta za minutą, godzina za godziną. Z początku robiły to leniwie, jednak z każdym kolejnym przesunięciem nabierały tempa, pozostawiając za sobą barwne pasma. W dziewczynie strach walczył z fascynacją, nie potrafiła jednak zmusić się do odejścia. Wszystko to wyglądało pięknie, jakby sam zegar zdecydował się stać dziełem sztuki. Dziełem magii.

Nie była w stanie rozpoznać już, którą godzinę pokazywały wskazówki. Były już tylko niewyraźną smugą, tonącą w fiolecie tarczy. Także cyfry zaczęły zanikać pod powierzchnią tego przedziwnego basenu. W końcu i one ustąpiły. Z głębin koloru zdołała wyłowić złoty blask, samotną boję wśród oceanu purpury. Chwilę później pojawiły się kolejne, niczym świetliki budzące się do życia w ciepły letni wieczór. Nim zdołała zrozumieć, co się dzieje, ceglane ściany domu zniknęły, a razem z nimi stół i wielki zegar. Była już tylko ona, ciemność i pulsujące dookoła punkty. Zawieszona w tej przestrzeni, poczuła, jak traci panowanie nad swoim ciałem. Nie miała już gruntu pod stopami, ale wcale nie spadała. Unosiła się niczym po powierzchni wody, nie czuła jednak żadnego oporu. Obróciła się, a razem z nią obrócił się cały świat wokół niej. Spróbowała złapać oddech, ale w jej nozdrza wdarła się tylko pustka. Przerażona, zaczęła wierzgać nogami, szukając możliwości odbicia się z dna tego bezkresnego oceanu, ale nadaremnie. Światła stawały się coraz większe, rosły, oślepiając ją i paląc od środka. Jej płuca zapłonęły żywym ogniem i jedyne, co mogła zobaczyć, to mrok.

\*

Wielki zegar wskazywał za minutę siódmą, gdy się ocknęła. Stęknęła głośno, podnosząc się z podłogi i zauważyła, że jego wskazówka minutowa przesunęła się do przodu. Zza pleców dobiegł ją śpiew kukółki. Odwróciła się i zauważyła, że na prostej, drewnianej ławie obok stołu siedzi mężczyzna, którego nie była w stanie rozpoznać. W zawieszonym na jego szyi kryształach splatały się złote i purpurowe włókna, a w ręku trzymał tak dobrze znanego jej pta-

ka. Oba jego skrzydła machały zawzięcie, oznajmiając wszystkim o nadejściu kolejnej godziny.

– Spokojnie – odezwał się w końcu nieznanymi, podchodząc do dziewczyny. – Mówił mi, że się pojawisz. Długo na ciebie czekaliśmy. Mamy ci wiele do pokazania.

## Sylwester Gdela – Męczennice

Przyszło mi żyć w epoce rozumu. Nawet kapłani, magicy czy myśliciele wędrujący umysłami poza utarte ścieżki coraz częściej opowiadali się po stronie nauki lub przynajmniej z nią romansowali. Ja czułem jednak, że blask nadnaturalności wciąż wypełnia świat. Ci, którzy przyrzekli się dobrze, mogli ujrzeć jego krótkie, ale jasne rozświetlenia.

Zdziwiłby się ten, kto szukałby światła magii w pobliżu antycznych kurhanów czy wietrzejących relikwii dawnych kultur. Tam wszystko było już zimne, wygasłe. Prawdziwe tajemne siły kryły się gdzie indziej, w niepozornych miejscach, gdzie gorliwe serca mogły w spokoju podtrzymywać ogień arkany.

Pewnego dnia natknąłem się na takie sanktuarium we własnym mieście. W prostokątnej sieci ulic, pośród niskich domostw, gwieździstych sztandarów i równo przyciężonych trawników znalazłem osobliwy ogród ujęty w ramy białego płotu. Nie licząc kilku liściastych drzewek, rosły tam wyłącznie pnącza o rozłożystych, kolorowych kwiatach. Oplatały drewniane pergole, stalowe wsporniki w kształcie piramidy, kratki przymocowane do ścian drewnianej chaty. Także dwa ażurowe słupki przy bramie wejściowej, obok której stał właściciel, zraszając ziemię w donicach wodą z konewki.

– Dzień dobry – powitał mnie nadzwyczaj ciepłym głosem. Musiał zauważyć, że się przyglądam. – Spodobali ci się moi zieloni podopieczni?

– Wyglądają intrygująco – przyznałem. – Z pewnością przyciągają uwagę. Może to przez zapach, a może przez coś innego. Dlaczego akurat pnącza?

– By sięgać wysoko, potrzebują wsparcia, zupełnie jak my, ludzie – wyjaśnił właściciel, wyciągając do mnie umięśnioną, spracowaną dłoń. – Andre.

– Gary. Miło poznać.

– Chcesz zobaczyć cały ogród?

– Jeśli to nie problem.

– Nie, skądże znowu. Mam aż za dużo wolnego czasu. – Na okrągłej twarzy Andre rozkwitł szczerzy uśmiech.

Zaprosił mnie zamaszystym gestem. Gdy tylko przekroczyłem bramę, od razu wyczułem niesamowitość unoszącą się w powietrzu. Słodki, owocowy zapach powoli oplatał mój umysł, przy każdym wdechu sięgał do coraz głębszych zakamarków jaźni. Przyglądałem się kwiatom malującym przestrzeń setkami barw: intensywnym granatem, czystą bielą, delikatnym różem, połyskującą żółcią. Każdy z nich miał po pięć płatków i pięć działek kielicha oraz postrzępiony przykoronek, jakby zrobiony z ciasno zwiniętych bibułek.

– Męczennice – orzekłem z pewnością. – Tu *Passiflora incarnata*, tam *Passiflora caerulea*. Kilku odmian nie potrafię rozpoznać...

– Wątpię, żeby ktokolwiek je nazwał. – Andre odwrócił się i spojrzał na mnie, mrużąc oczy. – Uprawiam je od dawna, niektóre istotnie są wyjątkowe. Jedyne takie na świecie, powiedziałabym.

Nie były to czcze przechwałki. Kwiaty zdawały się aż nadżywe, jakby oprócz roślinnych soków płynęło w nich jeszcze inne źródło energii. Łapały ciepłe światło popołudniowego słońca i rozlewały je w pulsujące kolory. Odwracały się do mnie, gdy na nie spoglądałem, wychwytywały pylnikami moją aurę. Słuchały moich myśli.

Przeszliśmy razem z Andre na tyły domu, gdzie centralne miejsce zajmowała rzeźba kobiety wypleciona z grubego drutu, oczywiście cała porośnięta męczennicami. Na samym szczycie, na czole niewiasty, rozkwitł kwiat o tęczyowych płatkach; spektrum widzialnego światła płynnie falowało na nich i błyskało niczym stroboskop. Usiedliśmy na werandzie, na trzeszczących wiklinowych fotelach.

– Napijesz się czegoś? – zaproponował Andre.

– Nie, dziękuję.

– Rzadki z ciebie przypadek, wiesz. – Andre oparł łokcie na kolanach i splótł palce. – Mało kto zagląda do tej części miasta poza jej mieszkańcami i ich rodziną czy znajomymi. Mało kto jest w stanie dostrzegać to, co naprawdę kryję się w tym ogrodzie... Czym się zajmujesz?

– Pracuję w agencji ubezpieczeniowej. Spodziewałeś się czegoś bardziej niecodziennego?

– Nie. – Pokręcił głową. – Znudzenie zwyczajnością często prowadzi nas do tego, że zaczynamy sięgać po niezwykłe.

– *Passiflora* – rzuciłem, lustrując wzrokiem spowitą pnączami kobietę. – Kwiat Męki Pańskiej. Hiszpańscy misjonarze dopatrywali się w nich symboli powiązanych z ostatnimi dniami Jezusa, stąd nazwa. I stąd magia? Pnącza skojarzono z biczowaniem, pięć pręcików z pięcioma ranami Chrystusa, czterema od gwoździ i jedną od włóczni. W przykoronku upatrywali korony cierniowej...

– Wszystko zależy od perspektywy. W Indiach niebieskie męczennice zwą *Krishna Kamala*. Pięć pręcików oznacza pięciu Pandawów, a słupek to sam Kriszna. Rdzenni mieszkańcy tego lądu mówili zaś *marau-ya*, owoc jedzony jednym haustem. Ale chrześcijanie złapali dobry trop.

– Co masz na myśli? – zapytałem.

– Widzisz, pasja potrafi przyjmować różne formy – Andre przemawiał spokojnie, z ogładką nieco odstającą od pospolitej aparycji. – Ja akurat zająłem się ogrodnictwem, zawsze lubiłem rośliny. „Pasja” ma też inne znaczenia, w różnych językach jest rozumiana nie tylko jako zamiłowanie do czegoś, lecz także jako silne uczucie, a w łacinie *passio* oznacza cierpienie... Cierpienie i zamiłowanie często splatają się ze sobą.

– Zgadza się. – Westchnąłem głęboko. – Jeżeli coś kochasz, poświęcasz temu wiele trudu.

– Choćby ten ogród. Dźwiganie konewek z wodą, wsypywanie ziemi do donic, przycinanie pnączy. Mam już swoje lata, stawy trochę dokuczają. Mógłbym to rzucić i po prostu odpoczywać, ale nie chcę, bo cenię te rośliny. Poza tym jest jeszcze jedna rzecz... – Andre wstał z fotela. – Chodź.

Przyłączyłem się do niego i razem zbliżyliśmy się do rzeźby. Obeszliśmy ją powoli dookoła. Z każdej strony raczyła nas fantazyjnymi kolorami i kształtami wiecznie zmiennych, pulsujących kwiatów. Przemieniał się także i zapach. Czasem był słodki, przypominał wanilię, a czasem był lekki, orzeźwiający. Aura męczennic wypełniała całą okolicę, emanowała harmonią, lecz u jej źródeł leżało coś przejmującego, wrażliwego.

– Wiem, że to czujesz – powiedział Andre. – Zanim tutaj osiadłem, służyłem w wojsku. Jeździłem na misję. Widziałem wiele okropnych, naprawdę okropnych rzeczy. Na domiar złego nawet w ojczystym kraju znaleźli się tacy, którzy uprzykrzali mi życie. Bo nie podobał im się mój kolor skóry. Ty też pewnie przechodziłeś przez trudne chwile. Każdy z nas przechodził. – Andre znacząco spojrzał na prawą dłoń rzeźby, w której spoczywał pęk kwiatowy. – Spróbuj.

Wyciągnąłem rękę i dotknąłem zielonej, sercowatej bryłki. W głowie nagle rozbłysło mi wspomnienie – szkoła, przerwa, pięści starszego chłopaka lądujące na mojej twarzy, szyderczy śmiech innych dzieci na korytarzu – i wtem zgasło, zupełnie jakby roślina wyszła ze mnie tę myśl. W tym samym momencie kwiat męczennicy uwolnił się z pąku i rozłożył opalizujące, purpurowe płatki. Nitki przykoronka na przemian malowały się błękitem i bielą. Otoczony przez pręciki słupek falował zgrabnie, niby tańczył na kolorowej scenie.

– Męczennice... absorbują cierpienie – wyszeptalem pełen podziwu.

– Wchłaniają chwile bólu i przekształcają je w piękne kwiaty – objaśnił Andre.

– Dlatego one wciąż się ruszają i zmieniają wygląd – zauważyłem.

– Tak. – Na twarzy Andre znów rozkwitł uśmiech, tak samo szczery jak wcześniej. – Cierpienie zmienia ludzi. Cierpienia zmienia wszystko. Często nie da się go uniknąć. Lecz można przelać ciężar emocji w coś innego, coś dobrego. Tym jest dla mnie pasja.

## Maciej Serżysko – Holenderska lampa

Popołudniowy wiatr wciskał się pod szalik, mierzwił włosy i myśli, i tak już zszargane po ciężkim dniu. Co prawda udało mi się dziś znacznie wcześniej wyjść z pracy, dobiegała raptem 16.00, ale byłem wyjątkowo zmęczony. Przytłaczała mnie obecność ludzi, także tu, w okolicach stacji metra Wilanowska. Rząd staruszków wyprzedających okruchy swojego życia, sprawiał przygnębiające wrażenie. Wieczorową porą znikali w swoich domach, w niedoświetlonych pokojach, okryci nadwerżonymi przez czas i mole pledami, próbując zapomnieć o pustkach w lodówce i wokół nich. Z roku na rok było ich coraz mniej, rezygnowali z prób zarobienia kilku groszy i wyciągali ręce po pomoc z opieki społecznej lub umierali, odchodząc niepostrzeżenie. Po prostu pewnego dnia nie wystawiali już kartonów pełnych książek z dzieciństwa, starych ubrań, które komuś się jeszcze mogą przydać, butów, w których przechodzili szczęśliwe lata swojego życia, zabawek, którymi bawiły się ich dzieci, lecz już nie wnuki. Wygnieciona trawa podnosiła się, zakrywając ślady ich obecności.

Zwykle przechodziłem szpalerem wspomnień, samotności i rozpaczliwej próby zachowania godności, uśmiechając się i pozdrawiając tych, z którymi od czasu do czasu miałem okazję zamienić kilka słów i tych, z którymi tylko milczałem. Z ciekawością też zerkałem na rozłożone na ziemi koce, koślawe stoliki i pudła, wypatrując drobiazgów, które mógłby mnie zaciekawić. Od lat kolekcjonowałem lampy naftowe i wiedziałem, że czasem na ulicznych straganach trafiają się prawdziwe rarytasy.

Tak jak tego dnia, gdy kątem oka dojrzałem coś, co trafia się tylko raz w życiu! Niewielka, niepozorna lampa z pracowni, która już w czasach swojego istnienia była legendą. Mistrz Levi de Vries był postacią owianą aurą tajemniczości jeszcze za życia. Sędziwy Holender miał małą pracownię w Groningen i wytwarzał tam tylko cztery lampy naftowe rocznie, po jednej na każdą porę roku. Osiągały zawrotne ceny, a istniało ich zaledwie kilka, gdyż de Vries zginął w niewyjaśnionych okolicznościach szóstego roku swojej pracy. Lampom przypisywano magiczne właściwości, a samego de Vriesa wielokrotnie oskarżano o fascynację okultyzmem i alchemią. Mówiono też, że podobno zamknął w jednym ze swoich dzieł własną duszę lub że sam, wraz z ciałem, znalazł w niej schronienie. Choć bardziej prawdopodobne było to, że zamordowali go zazdrośni konkurenci.

Wszystkie lampy Holendra były identyczne, pozornie nieciekawe. Przypominały aptekarskie palniki przykryte kloszami i ktoś nieobeznany w temacie nie był w stanie rozpoznać w nich istnych skarbów. Tylko mały, niemal niewidoczny szlif na kloszu sprawiał, że zapalone zdawały się żyć własnym życiem. A może rzeczywiście żyły? Miałem szansę się o tym przekonać.

- Ile pani chce za tę lampę? – zapytałem, nie udając nawet, że interesuje mnie coś innego. Złamałem zasady obowiązujące na targowiskach, ale staruszka już pakowała ostatnie przedmioty na wypełniony rupieciami wózek i zamierzała odjechać.

- Tę? – wzruszyła ramionami. – Sama w sobie jest niewiele warta, ale może zapłaci pan za jej historię? – zapytała.

Nie ukrywałem, że zaintrygowała mnie.

- Jeśli tylko zechce ją pani opowiedzieć...

Wsparta o ławkę rozpoczęła opowieść.

- Niby to pamiątka, ale raz, że nie ma już komu jej przekazać i wylądowała na złomie, jeśli ktoś jej nie weźmie, a dwa... Moja babka przywiozła ją z Syberii i strzegła niczym oka w głowie. Cała rodzina uważała, że wręcz zwariowała, że przelała na lampę całą swoją miłość do Leokadii, swojej jedynej córki. Nazywała ją jej imieniem, rozmawiała z nią wieczorami. Do śmierci powtarzała, że wróciła do Polski z Leosią, a przecież ona tam gdzie została. Zmarła na zesłaniu, ale babka upierała się, że dziewczyna żyje. Trudno to było wytrzymać. Mąż od niej uciekł, została sama z drugim dzieckiem, moim ojcem, a on wychował się w cieniu tego grata. Lampa zniszczyła nam rodzinne życie. Nie wiem, czy jest przeklęta, ale może pan się nie boi? – spytała z nadzieją w głosie. Nadzieją na zarobek.

- Nie boję się – odparłem, nie do końca ignorując opowieść. Chętnie dowiedziałbym się więcej, ale dziś nie było już o tym mowy, staruszka wyraźnie była zmęczona, a ja za wszelką cenę chciałem wrócić do domu z lampą. Właśnie, cena... Nie mogłem sobie pozwolić na wręczenie seniorce kilku tysięcy, choć tyle wart był ten przedmiot. W euro oczywiście. – Czy tyle się za nią należy? – zapytałem, wyjmując z portfela nowiutkie banknoty z Zygmuntem Starym. Bankomaty wydawały ostatnio tylko takie. Miałem wrażenie, że rząd dodrukowuje nocami pieniądze.

Oczy kobiety rozbłyły.

- Bóg zapłać! – Powiedziała radośnie, po czym włożyła lampę do pudełka po butach, wyściełonego starymi gazetami.

\*

Dopiero w domu dotarło do mnie, czego dokonałem. Kupiłem właśnie za symboliczną kwotę bezcenną lampę, która wyszła spod ręki samego Leviego de Viresa. I niech mi ktoś jeszcze raz powie, że cuda się nie zdarzają!

Starannie wypolerowałem pokryte grubą warstwą kurzu elementy, wypucowałem klosz gazikiem nasączonym spirytusem. Wreszcie napełniłem zbiornik naftą i przymocowałem knot, po czym przyłożyłem doń zapalniczkę i zgasilem światło.

Płomień zamigotał, zatańczył, wesóło rozświetlając półmrok. Poczułem bijące od lampy słabe ciepło oraz... coś jeszcze. Czyjaś obecność? Wydawało mi się, że ktoś na mnie patrzy, a że mieszkam sam, nie czułem się komfortowo. Płomień zasyczał, po czym zaczął szeptać, albo ja zwariowałem. Przypomniałem sobie opowieść o szurniętej babce i już miałem włączyć światło, gdy dostrzegłem niewyraźny cień ludzkiej sylwetki majaczący na ścianie. Zdawało się, że rozmywał się z każdym drgnięciem knota. „Niesamowite złudzenie wywołane przez skazę na kloszu” pomyślałem, a jednocześnie kobieca postać była tak rzeczywista i namacalna. Mógłbym przysiąc, że była to żywa istota!

Szepty otoczyły mnie ze wszystkich stron, polskie i rosyjskie słowa splatały się w gorącą prośbę o pomoc. Dziewczyna gięła się w ukłonach niczym księżniczka Leia w projektorze R2-D2, a ja miałem wrażenie, że oszalałem. Wymacałem włącznik i w pokoju rozbłyła żarówka. Zgasilem lampę, zapachniało naftą. I czymś jeszcze... Perfumami?

Zaparzyłem mocną kawę i opadłem na wysłużony fotel. Lampa wyglądała całkiem zwyczajnie, ale czy taką była? Składałem myśli.

Babka staruszki przywożąca z Syberii tę lampę, utrzymująca, że wraz z nią wróciła córka. Legenda o de Viresie, który zaklął w lampie swą duszę. Oskarżenia o magię i okultyzm. Opowieści o dżinach.

Możliwości były dwie – albo zwariowałem, albo stara sybiraczka nie była wariatką.

\*

Zima rozgościła się na dobre. Wróciłem do domu, przyrządziłem kolację i jak co wieczór zapaliłem moją lampę.

- Witaj, Leosiu – uśmiechnąłem się do cienia, a Leokadia zaśmiała się cichutko. – Znów nie spotkałem nigdzie twojej ciotecznej wnuczki, ale jestem pewien, że gdy się ociepli, uda mi się ją znaleźć – pocieszyłem moją towarzyszkę, po czym sięgnąłem po pudełko szachów. Leokadia grała świetnie, ale przecież kiedyś musiałem wygrać z nią choć jedną partię.

Może tego dnia, gdy odnajdę starszą panią i zapytam ją, co jeszcze przywiozła z Syberii jej babcia. Może wtedy, gdy dowiem się, w jaki sposób Levi de Vires zaklinał w lampach żywych ludzi.



## Kuba Frąk – Niezniszczalny Joe

Do połowy 8. rundy walka toczyła się po jego myśli. Trzymał rywala na dystans, pracą nóg i szybkimi odskokami, uciekając poza zasięg ciosów, by w odpowiednich momentach skracać odległość i samemu kąśliwie uderzać. Nie było to łatwe, szczególnie kiedy za przeciwnika miało się trzymetrowego przedstawiciela rasy Kerwali, humanoidalnego rekina o czterokrotnie większej masie ciała i pięściach jak ludzka głowa, ale był pewien, że zdecydowanie prowadzi tę walkę na punkty. Jednak kiedy po serii uników i kontr nadział się na potężny prawy prosty, sprawy przybrały o wiele gorszy obrót. Zdołał zrobić dwa niepewne kroki do tyłu i nawet nie zauważył, kiedy wylądował plecami na deskach.

Za czasów zawodowej kariery nigdy nie przegrał walki, mało tego, ani razu nie zaliczył nok-downu. W wieku 24 lat został mistrzem świata wagi ciężkiej w kategorii ludzi i do 30. roku życia skutecznie bronił tytułu, we wspaniałym, niepowtarzalnym stylu odprawiając kolejnych pretendentów. Joe Kobra, zawsze gotów do niespodziewanej, zabójczej kontry. Joe Młot, którego sierpowe zwałały z nóg największych pięściarzy.

Najsłynniejszy bokser swoich czasów.

Teraz, w wieku 35 lat, Joe N'deye nie był w stanie spamiętać, ile razy musiał być liczony przez sędziów. Kiedy wybuchła wojna, cały świat się zmienił. A najbardziej zmienił się on sam.

Całe wieki waśni pomiędzy magicznymi i niemagicznymi gatunkami zamieszkującymi świat Protei wydawały się przeszłością, złym koszmarem, którego echa od czasu do czasu wracały w lokalnych konfliktach, lecz z którego zdołano się już na dobre obudzić. Wielkie imperia i konfederacje mniejszych państw podzieliły świat między sobą i skoncentrowane na zabezpieczeniu własnych interesów, weszły na ścieżki dobrobytu i rozwoju.

Kiedy Joe był młodym sportowcem, cały ten świat stał otworem przed każdym, kto miał wystarczającą ilość pieniędzy, szczęścia lub talentu. Jak on sam, chłopak z biednego kraju, któremu dziadek, były bokser, podarował na 7. urodziny stary worek treningowy i zajął się jego szkoleniem, i którego dekadę później wypatrzyli łowcy talentów, proponując kontrakt i przeprowadzkę do najbogatszego kraju na świecie - Imperium Złotego Słońca.

Tam poznał smak wielkiej sławy i jeszcze większego bogactwa, lecz krocząc od zwycięstwa do zwycięstwa. nie zauważył narastających napięć społecznych, odradzania się głęboko po- grzebanych krzywd i resentymentów. Kiedy w IZS władzę przejęli radykałowie, pomiędzy najpotężniejszymi mocarstwami doszło do serii z początku tylko prowokacyjnych, a później coraz bardziej brutalnych i krwawych incydentów. Kruchy ład zawałił się od tych wstrząsów i świat wpadł w szpony kolejnej wojny.

Jak można było się spodziewać, również dla sportowców nastąpiły ciężkie czasy. Zawieszono wszelkie walki międzypaństwowe, wielu zawodników powołano do wojska. Kiedy po dwóch latach okazało się, że rodzinny kraj N'deye postanowił opowiedzieć się po stronie Ryas, rasy skrzydlatych, podobnych do lwów istot władających potężną magią, największego wroga IZS, Joe musiał uciekać przed groźbą internowania i represji. Dzięki zgromadzonemu majątkowi i licznym kontaktom udało mu się dostać miejsce na pokładzie pasażerskiego sterowca przewożącego uciekinierów takich jak on sam, zarówno ludzi, jak i nieludzi. Sterowiec nigdy jednak

nie opuścił granic imperium. Przeciężony ponad miarę nie zdołał wzbić się na odpowiednią wysokość i roztrzaskał się o skały. Joe N'deye ocknął się dwa lata później i był już zupełnie innym człowiekiem.

Gdy na miejsce katastrofy przybyło wojsko, był ponoć jedynym ocalałym. Nieprzytomnego i znajdującego się na skraju śmierci boksera przewieziono do wojskowego laboratorium zarządzanego przez barona Makkennę Whyte'a, osobę odpowiedzialną za rozwój technologii wojennej IZS. Każdą roztrzaskaną, zmiążdżoną i martwą część jego ciała zastąpiono protezą - dostał stalowe nogi i ramiona, żebra i niektóre organy, a mózg zamiast kości czaszki chroniły metalowe płytki. Żył, choć zatracił większość swego człowieczeństwa. I stracił wolność - baron Whyte miał wobec niego własne plany. Tworzył wielkie, bokserskie gale, których celem oprócz propagandowej rozrywki, koniecznej dla podtrzymania dobrych nastrojów wśród ludności, były eksperymenty na ludziach. W tak zaaranżowanych warunkach testowano i ulepszano nową technologię, mającą wzmocnić żołnierzy w starciach z potężniejszymi rasami, jednocześnie udowadniając widowni i mieszkańcom IZS, że technologię można z powodzeniem przeciwstawić magii.

W taki sposób Joe po 4 latach wrócił do boksu. Mimo że z początku nie chciał zgodzić się na swoją nową rolę, nie miał wyjścia. Silnik zastępujący jego serce był połączony z generatorem mocy, który przesyłał impulsy pobudzające go do pracy wyłącznie na ograniczoną odległość - nowa technologia wciąż wymagała rozwoju. Ucieczka oznaczałaby więc śmierć, a on nie był na nią gotów. Choć ostatnimi czasy przyszło mu wielokrotnie balansować na jej granicy.

Pierwsze 3 walki przegrał, został wręcz wgnieciony w ziemię przez swoich przeciwników, a inżynierowie mieli mnóstwo pracy nad tym, aby utrzymać go przy życiu, ponownie złożyć i wysłać na ring z nowymi usprawnieniami. Jednak kolejny pojedynek udało mu się wygrać i od tamtej pory znów był niepokonany, ale teraz przychodziło mu to z o wiele większym trudem i zamiast walczyć o zwycięstwa, walczył po prostu o przetrwanie.

Nim sędzia doliczył do 10, Joe zdołał podnieść się na swoje protetyczne, ulepszone nogi i ponownie stanął naprzeciw Kerwala. Hakresh Oshu, o wdzięcznym pseudonimie Ludojad, wietrząc szansę na zwycięstwo, czekał niecierpliwie, aż arbiter pozwoli wznowić pojedynek. Za nim 8. runda dobiegła końca, N'deye jeszcze dwukrotnie leżał na deskach, jednak za każdym razem był w stanie podnieść się i przyjąć kolejną lawinę ciosów. W przerwie nie słyszał poleceń swoich sekundantów, oprócz bólu niewiele do niego docierało. Wrzawa trybun dolatywała do niego jakby z ogromnej odległości. Wiedział, że widzowie przyszli na tę galę zobaczyć ich wysiłek i pot, ich krew. Więc pokaże im swój ból i cierpienie, swoją miłość do boksu i wielki talent, swój gniew. Pokaże im swoją pasję. Mimo sytuacji, w jakiej się znalazł, zniszczonej kariery i złamanego życia, wciąż był najlepszym bokserem na świecie. Gdy wybrzmiał gong oznajmiający początek 9. rundy, był gotów.

Od razu poszedł na wymianę, zasypując przeciwnika gradem ciosów i nie zważając na jego ataki. Zaskoczony rywal cofnął się i na chwilę stracił rezon. Wyprowadził niepewny prosty, przed którym Joe Kobra odchylił się do tyłu, kontrując potężnym uderzeniem w dolną część rekiniego pyska. Zamroczony Oshu opuścił gardę i wtedy Joe Młot posłał go na deski piorunującym, wzmocnionym potęgą maszyn prawym sierpowym. Widownia eksplodowała wrzaskiem radości.

Patrząc na liczonego przeciwnika, taką samą ofiarę wojny jak on sam, Joe słuchał słów skandującego tłumu.

NIE ZNISZ CZALNY NIE ZNISZ CZALNY

Uśmiechnął się gorzko i pomyślał, że być może on się zmienił, za to świat nie zmienił się wcale. Pod cienką powierzchnią ładu zawsze był taki sam.

## Łucja Budzan – TENEBROS

Roku Pańskiego 1288 rozgorzał spór między rycerzami Wszeborem i Bolkiem Czarnym o ziemię na brzegu rzeki Zgłowiączki. Udali się do księcia, aby ich sprawę rozsządził. Książę Władysław, słysząc plotki mówiące, że Bolko para się czarami, przyznał rację Wszeborowi. Wkrótce potem o Bolku słuch zaginął. Ludzie powiadali, że pochłonęło go piekło...

\*\*\*

Wśród ryku grzmotów ledwie można było usłyszeć łomotanie do bramy zamku w Kowalu. Znużeni czuwaniem wartownicy z niechęcią spojrzeli na wrota. Maćko i Michał chcieli z powrotem znaleźć się z kompaniami, którzy w ciepłej i suchej strażnicy świętowali narodziny najmłodszego syna króla.

Pukanie nie ustawało. Maćko podniósł się i poczłapał do bramy.

Przyłożył oko do bramnego wizjera i ujrzał starca trzymającego za wodze karego źrebaka.

- Szlachetny panie.. – starzec zachrypiał, kłaniając się.

- Czego chcesz? - spytał ostro Maćko.

- Ja... Ja chciałem nowo narodzonemu księciu podarek dać!

Starzec wskazał na źrebaka.

- Ten...to jest jedyne, co mam. Klacz wilcy ubili. Ja, mości panowie, wędruję cały czas, bo ni żony, ni dzieci nie mam. I co ja teraz z tym biedakiem pocznę? - Maćkowi zrobiło się starca żal.

- A skąd my wiemy, żeś ty nie zbój?! – Michał wychylił się zza ramienia towarzysza.

- Sami panowie spójrzcie, jakie to zacne zwierzę, duszą za niego ręczę! – starzec mamrotał przerażony, ponownie wskazując na konia.

Maćko i Michał otworzyli małe drzwi w bramie, pozwalając obcemu wejść.

Gdy Maćko pilnował przybysza, Michał oglądał źrebaka.

- Kradziony – stwierdził po chwili.

Starzec słysząc to, rzucił się na kolana.

- Jam nie złodziej! To mój koń, od maluczkiego chowany! Zlituj się, panie!

- Za dobry ten koń. Kradziony, to pewne! Maćko, trzymaj go! – huknął Michał.

Maćko chciał ucałować starca za kołnierz, ale ten jakby rozpląnął się w powietrzu.

Żołnierz usłyszał tylko głęboki głos, przebijający się przez szum deszczu:

- Ten podarunek zgubę Piastom przyniesie!

Maćko odwrócił się w stronę Michała, który nadal spokojnie oglądał konia.

- Widziałeś to?! Znikł, jakby go ziemia połknęła!

Michał popukał się w czoło .

- Późno, to roją ci się cuda. Przez bramę wybiegł!

- Nie wybiegał! Poza tym: nie słyszałeś tego głosu? Był donośny jak kościelny dzwon!

Michał westchnął. Sam przecież widział, jak starzec wybiega.

Złapał źrebaka za uzdę i ruszył w stronę strażnicy.

Maćko odprowadził ich wzrokiem.

Przez chwilę zdało mu się, że widzi na boku źrebaka wypalone znamię w postaci diabelskiej łapy...

Tenebros, bo tak nazwano źrebię, został umieszczony w królewskich stajniach. Koniuszy oznajmił, że rumak tak szlachetnej krwi powinien służyć jakiemuś dworskiemu dygnitarzowi. Jednak mimo iż koń był ujeżdżany przez najlepszych masztalerzy, pod każdym wierzgał i gryzł. Gdy zostawiano go samego w stajni, tłukł kopytami o ścianę, aż drzazgi leciały.

Pewnego dnia zakradł się do stajni dwunastoletni królewicz Kazimierz. Bez niczyjej wiedzy dosiadł karego konia i wśród zdumionych okrzyków wjechał na dziedziniec.

Dziedzic Władysława Łokietka okazał się jedyną osobą, której Tenebros dał się ujarzmić. Koń stał się potulny i spokojny. Kazimierz również przeżył przemianę. Całkowicie poświęcił się jeździectwu. Ojciec był z tego bardzo zadowolony, bo wcześniej obawiał się, że syn na zawsze pozostanie w świecie ksiąg. Po jakimś czasie okazało się jednak, że pasja królewicza zamieniła się w niezdrową obsesję. Każdą chwilę spędzał na polowaniach lub na długich konnych eskapadach. Jeździł wyłącznie na Tenebrosie, który był niestrudzony, nigdy się nie męczył. Nikt nie przypuszczał, że pasja królewicza doprowadzi do tragicznego finału.

Od pierwszego dnia, kiedy Kazimierz dosiadł Tenebrosa, minęło czterdzieści siedem lat. Z królewicza wyrósł znakomity władca, którego trapiło już tylko jedno: wciąż nie doczekał się prawowitego dziedzica.

Wracał właśnie, przygnębiony nowiną o narodzinach kolejnej żeńskiej latorośli, do swego zamku w Przedborzu. Czuł się stary i zmęczony życiem. Nadal miał jednak siłę, aby dosiadać Tenebrosa. Bo rumak ciągle żył, nie miał się go czas. Nikt, włącznie z królem, nie zastanawiał się, dlaczego tak się dzieje.

Kazimierz wraz ze świtą wjeżdżał właśnie do lasu w pobliżu wsi Żeleźnica. Był początek września. Ostatnie dni były deszczowe, po błotnistej drodze konie stąpały wolno, a jeźdźcy mieli czas, aby rozglądać się po lesie.

Nagle psy, prowadzone na smyczach za orszakiem, zaczęły zajadle ujadać.

Król ruchem ręki zatrzymał kolumnę. Wtem wśród drzew mignęło szare cielsko i rozległ się ogłuszający ryk.

- To tur! – krzyknął Kazimierz i popędził Tenebrosa.

Skonfundowany nagłym zachowaniem króla orszak zawahał się, ale w końcu łowczy i część dworzan, która miała konie przystosowane do polowań, ruszyli w las.

Niespodziewanie koń poniósł Kazimierza. Rumak galopował szaleńczo przez las, aż pokrył się płatami piany. Nagle zatrzymał się.

Tura nie było nigdzie widać.

Kazimierz rozejrzał się. Koń powiódł go na bagnisty łąg, gdzie jak okiem sięgnąć wszędzie rozciągały się zielonkawe jeziorka i rosły powykrzywiane olchy. Nad mętną wodą unosiła się siwa mgła.

Wtem Tenebros zarżał i uniósł się na tylne nogi. Jeździec zaskoczony puścił wodze i ciężko spadł na ziemię. Przez chwilę był kompletnie zamroczony, ale cały.

Gdy się otrząsnął, Tenebrosa nigdzie nie było widać. Spośród drzew dobiegały jakieś szepty i ciche chichoty.

Król zadrżał. Ogarnął go przedziwny lęk.

- Witaj! – ciszę przeciął syk.

Kazimierz poderwał się z ziemi. Poczuł falę mroźnego powietrza, która rozchodząc się błyskawicznie wokół skruszyła liście pobliskich krzewów.

Wśród drzew stał monstrualnego wzrostu starzec, przypominający wyglądem bardziej demona niż człowieka. Włosy zwisały mu w strąkach aż do ramion, w pokrytej ciemnymi plamami twarzy błyszcząły zapadnięte czarne oczy.

Król zamarł.

- Wiesz, kim jestem? – spytał cicho starzec, a zimny podmuch omiół twarz przerażonego króla.

Kazimierz tylko potrząsnął głową.

- Jestem Bolko Czarny, twój ojciec pamiętałby moje imię. Boisz się mnie? – starzec wykrzywił twarz w złośliwym uśmiechu.

Kazimierzowi zdawało się, że widzi pełzające po ziemi ogromne węże, które to zbliżały, to to oddalały się od niego.

- Kiedy Władysław Łokietek niesprawiedliwie mnie sądził, złożyłem mu pewną obietnicę – tu zaczął się śmiać – A przeklęty rumak, którego ci dałem w podarku urodzinowym, w końcu cię do mnie doprowadził! Czekałem długo, ale wiedziałem, że pasja do polowań w końcu zniszczy ciebie i cały ród!

Królowi coraz bardziej ciemniało w oczach.

- Obiecałem, że wypenię wasze plemię wiarołomców co do ostatniego potomka. Zdradzić ci coś? – starzec nachylił się.

- To ty nim jesteś.

Ostatni władca z dynastii Piastów poczuł, jak na jego lewą nogę spada olbrzymi, ostry sopel lodu. Zemdlął z bólu.

\*\*\*

Król Kazimierz III Wielki zmarł 5 listopada 1370 roku na zamku na Wawelu. Wcześniej, przez prawie dwa miesiące konał z powodu ropiejącej rany na nodze. Medycy sprowadzani z całego państwa dziwili się, jak niewielkie, czyste złamanie może tak się jątrzyć i przyciągać roje much do gnijącego żywca ciała. Byli tacy, co dopatrywali się w tym działania złych mocy, szczególnie że król w swoich ostatnich momentach krzychał coś o węzach i zemście jakiegoś czarownika. Ale kto by wierzył w takie zabobony...Prawda?

## Jagna Rolska – Gniewka

Uprawa roślin interesowała ją od dawna. Cykl zaczynający się od nasiona wsadzanego do ziemi i kończący się wyjęciem kolejnego nasionka z dojrzałego owocu był pasjonujący. Dominika marzyła o uprawie warzyw. Problemem było to, że mieszkała na trzecim piętrze.

Nie mogąc sobie pozwolić na wyprawdzkę do wysnionego domku, postanowiła wykorzystać to, co ma, czyli balkon. Jak na standardy życia w bloku był spory, więc kupiła dwanaście skrzynek po owocach, sapiąc z wysiłku przytaszczyła do domu kilka pak ziemi i przystąpiła do dzieła. Skrzynie wyłożyła folią, a potem nasypała podłoże.

Uznała, że kupienie gotowych sadzonek w maju nie wypełnia jej ogrodniczych ambicji, więc w marcu zadbała o nasionka. Jak to z entuzjazmem nowicjusza bywa, nabyła je w ilościach pozwalających na obsianie hektara, a nie dwunastu skrzynek balkonowych. Nic jednak nie było w stanie zmącić jej radości, gdy rozdierała paczuski i wsiewała ich zawartość do miniaturowych doniczek. Niektóre nasiona były czarne i wyraźnie większe od jasnych. Niezrażona tym faktem wsadziła je do ziemi. W połowie pracy zadzwonił telefon. Kierowniczką. Dominika przewróciła oczami i odebrała.

– Witam cię, Ewo – przywitała się obłudnie miło.

– Cześć – odburknęła kierowniczka. – Anka się rozchorowała. Musisz ją jutro zastąpić.

Żadnego „proszę” ani „czy mogłabyś”. Dominika jej nie znosiła i każdy dzień pracy w osiedlowym sklepie spożywczym był przez to torturą. Oczywiście potulnie zgodziła się na skrócenie urlopu.

\*\*\*

Tygodniami obserwowowała siewki. Nie było żadnych różnic pomiędzy tymi, które wyrosły z jasnych i ciemnych nasion. Dominikę rozczarowało to nieco, ale szybko o tym zapomniała.

W maju przesadziła rośliny na balkon, a potem obserwowowała ich rozwój. Najpierw kwitnienie, a potem zawiązywanie się owoców. Lubiała siadać na krzeselku pośród nich. Wreszcie miała własny kawałek ogrodu.

Lipiec był upalny i dawał się we znaki mieszkańcom zabetonowanego do cna osiedla. Dominika siedziała na balkonie i wachlowała się książką. Spoglądała z nadzieją w niebo. Zapowiedzi burzę, ale to wcale nie znaczyło, że nadejdzie. Zauważyła kątem oka jakiś ruch przy parapetcie chili. Pewna, że jej się przywidziało, wróciła do czytania. Usłyszała szmer i poderwała się na równe nogi.

– Jasna cholera, szczur, jak nic! – wrzasnęła ze zgrozą.

Wbiegła do mieszkania, zamknęła za sobą drzwi i przykleiła nos do szyby. Spomiędzy liści wynurzyło się niewielkie stworzenie. Miało ze dwadzieścia centymetrów wysokości, było smukłe, by nie powiedzieć wiotkie i ubrane w czerwoną sukienkę. Albo coś, co wyglądało jak sukienka. W miejscu, w którym człekokształtne stworzenia miały włosy, istotka miała zielony kok. Mówiąc w skrócie: wyglądała jak papryka o ludzkich kształtach.



– Przecież nic nie piłam – szepnęła do siebie Dominika.

Przetarła oczy i spojrzała ponownie. Istotka usiadła na brzegu skrzynki i machała zielonymi stópkami. Dominika ostrożnie wyszła na balkon.

– Widzę cię – odezwała się mocnym głosem istotka.

– Kim jesteś?

– Gniewką.

Nic jej to nie mówiło.

– To twoje imię czy gatunek? – zapytała ostrożnie Dominika.

– Imię to mi musisz nadać!

– Ja?

– Zbieraj, co posiadaś! Jestem twoją gniewką, więc ty!

– Mogę się zastanowić?

Gniewka skinęła potakująco i zeskoczyła na ziemię. Ominęła Dominikę, pobiegła do mieszkania i zaszyła się w jakimś kącie. Szybka była.

Zdezorientowana kobieta zrobiła to, co zrobiłby każdy normalny człowiek. Wzięta do ręki telefon i zaczęła szukać informacji o gniewkach. Dużo tego nie było, ale wystarczyło, żeby włos zjeżył się na głowie. Na jakimś forum ogrodniczym kobieta żaliła się, że gniewki opanowały jej dom i żadną miarą się tych złośliwych paskud nie może pozbyć. Druga odpisała, że wszystkich przestrzega przed sianiem czarnych nasion, bo to właśnie z nich rodzą się te chole-ry i że gniewek pozbyć się nie da. Wie, bo próbowała już wszystkiego łącznie z egzorcyzmami. Reszta użytkowników forum wyzywała je od wariatek.

Koncepcję, że zwariowała, Dominika odrzuciła z punktu. Wiedziała, co widziała i kropka. Te kobiety pewnie też.

– Gniewko? Gdzie jesteś? – zawołała na próbę.

Istotka nie dała znaku życia, za to zadzwonił telefon. Oczywiście kierowniczka Ewa. Dominika zignorowała połączenie. Miała ważniejsze sprawy. Usłyszała właśnie donośny huk z łazienki. Wpadła z impetem do środka. Gniewka siedziała na umywalce. Na podłodze walały się odłamki szkła z potwornie drogich perfum.

– Nie! – jęknęła Dominika. – Coś ty najlepszego zrobiła?

– Wypić chciałam i wypadły – odparła gniewka ze wzruszeniem ramion.

– Po co pić perfumy?

– Ja lubię tylko rzeczy luksusowe – odparła.

Kolejne dni pokazały, że w istocie tak było i co gorsza stworzenie potrafiło czarować. I czyniło to z zapalem. Ulubione croc- sy Dominiki zamieniły się znie- nacka w szpilki Louboutina, a milutki dres z Pepco - w suknię Diora. Dominika otwierała lodówkę i dostawała szafu. Zamiast ruskich pierogów znajdowała kawior z jesiotra, a plastikowa butelka wody była obecnie szampanem

z winnicy Nicolasa Feuillatte'a. Na górnej półce siedziała gniewka i beznamiętnie żuła kawał wołowiny kobe, który jeszcze wczoraj był mortadelą. Najgorsze było to, że zamiast pocziwego kalendarza z zaznaczonymi datami urodzin krewnych na ścianie wisiał obecnie paskudny obraz z koniem niejakiego Kossaka, a telefon zamienił się w najnowszego Iphone'a.

– Oszaleję w końcu! – wrzasnęła, bezskutecznie próbując odpisać kierownicze na SMS-a.

Usiadła na twardym fotelu z epoki ludwikowskiej i zmełła w ustach przekleństwo pod adresem gniewki, która zamieniła meble z Ikea w te niewygodne paskudztwa.

– Siostry! – pisnęła zachwyconym głosem gniewka, wynurzając się z lodówki.

Podskakiwała na wyspie kuchennej i wskazywała paluszkami na balkon. Dominika zerwała się na równe nogi i podeszła do okna. Z krzaków odpadały właśnie kolejne paprykopodobne stworki i gromadą forsowały drzwi.

– Nie zgadzam się! – ryknęła Dominika. – Dość mam ciebie jednej!

– Nie nadałaś mi imienia – poskarżyła się.

– Ewka! – wrzasnęła z mocą. – Upierdliwa jak kierowniczka.

Gniewka podbiegła i uśmiechnęła się od ucha do ucha.

– Adoptowałaś mnie! – odparła i otarła łzy wzruszenia. – I moje siostry! W zamian zamienimy wszystkie pomidory w diamenty!

– Po tym, jak zamieniłaś mi Pearl Jam na Mozarta, kompletnie ci nie ufam! – wrzasnęła Dominika.

Szyba pękła pod naporem gniewek. Zajęty każdy skrawek mieszkania i prześcigały się w czarach. Dominika opanowała w końcu nowy telefon. Wystukała SMS-a do Ewy.

– Zobacz! Zamieniliśmy pęczak w diamenty! – ogłosiła gniewka i zajęła się przerabianiem albumu zdjęć na unikalną średniowieczną monografię.

Dominika złapała torebkę diamentów i wrzeszcząc wniebogłosy wybiegła na klatkę. Tam zdołała wysłać SMS-a do kierowniczki. Złożyła jej ofertę kupna mieszkania za grosze. Odpowiedź nadeszła natychmiast. Ewa była łasa na okazje.

\*\*\*

Zdumiewające, że zaledwie kilka kamieni z pudełka po kaszy jęczmiennej wystarczyło do kupna domku na obrzeżach miasta. Dominika usiadła na werandzie i z mściwą satysfakcją myślała o kierowniczce, która właśnie użera się z gniewkami.

Sięgnęła po butelkę coli i ze zdziwieniem zobaczyła, że trzyma w dłoni kryształowy kieliszek.

– Niespodzianka! – wrzasnęła gniEwka, zamieniając pocziwy taras w obrzydliwy marmurowy westybul.

## Dagmara Leśniak – Barbarzyński berberys

Latem co tydzień chodzę na targ i niemal zawsze zaglądam na stragan z roślinami. Niedawno zwróciłam uwagę na rozłożystą roślinę o jasnożółtych liściach. Nie była w dobrej kondycji, wzbudziła jednak moją ciekawość – naprawdę znam się na roślinach, a takiej jeszcze nie widziałam. Na całym straganie był tylko jeden egzemplarz.

– Co to? – zapytałam sprzedawcę.

– Berberys.

– Berberys? – zdziwiłam się.

Roślina rzeczywiście wyglądała berberysowato, choć liście miała o wiele dłuższe, a łodyżki nie sterczały tak sztywno w górę. Wzruszyłam ramionami. Jak berberys, to berberys.

– Po ile?

– Trzy złote, po przecenie.

Oblizalam wargi. Unikam, a jak za darmo.

– Biorę.

Po powrocie do domu od razu pośpieszyłam do ogrodu. Spędzam w nim naprawdę dużo czasu – jako samotna panna po trzydziestce mam do tego pełne prawo. Berberysy lubią stanowiska słoneczne, toteż takie właśnie wybrałam dla mojego nowego nabytku.

Niestety, roślina marniała z dnia na dzień. Łodygi chyliły się smętnie ku ziemi, przybywało suchych listków. Pomyślałam, że może jednak dostaje za dużo słońca, i przesadziłam ją do półcienia.

Było lepiej. Łodyżki trochę się naprężyły, a liście przestały wysychać. Nie byłam jednak usatysfakcjonowana.

– Zaryzykuję – oznajmiłam jej pewnego dnia – i posadzę cię w cieniu.

To był strzał w dziesiątkę. Łodygi podniosły się niemal do pionu, przywędłe listki rozwinęły się i nabrały połysku. Pojawiły się nawet nowe pędy, często o zadziwiających kolorach: niektóre były srebrzyste, inne różowawe czy błękitne. Rozpierała mnie duma ogrodnika.

Kilka dni później zamarudziłam przed telewizorem. Gdy wreszcie wstałam z kanapy, zamierzając udać się do pustej sypialni, zauważyłam za oknem dziwne błyski. Popędziłam do ogrodu.

Berberys falował i fosforyzował. Jego długie łodyżki, sięgające mi już do ramion, wiły się niczym w orientalnym tańcu, emanując światłem o magicznych barwach, tak jasnym, że wręcz raziło po oczach.

Wpatrywałam się w to zjawisko jak zaczarowana, gdy usłyszałam głos. Głęboki, uwodzicielski, brzmiał trochę jak kobiecy chórek. Miałam wrażenie, że omija uszy i rozbrzmiewa bezpośrednio w mojej głowie.

– Nie bój się... Podejdź bliżej.

Zafascynowana, zrobiłam kilka kroków.

– Jestem pradawną istotą, pamiętającą narodziny świata – szeptał berberys. – Podejdź, a podzielę się z tobą swym światłem.

Przed oczami stanął mi wąsaty pan nęcący dziecko cukierkami, wolałam więc zachować ostrożność.

– Podejdź, a obdarzę cię moją wiedzą...

Światło jak światło, ale wiedza to co innego. Mam tylko maturę, więc nadstawiłam uszu.

– Dziękuję, że mnie ocaliłeś – zaszemrał chórek. – Słońce mnie zabija, karmię się światłem gwiazd... A jednak możliwe, że wkrótce umrę...

– Dlaczego? – zmartwiłam się.

– Miłość – wyszeptala roślina. – Brakuje mi miłości.

Coś we mnie pękło. Byłyśmy do siebie takie podobne!

– Ja cię kocham, jak mogłaś tego nie zauważyć?! – wykrzyknęłam, podchodząc bliżej.

Wyciągnęłam dłoń, by pogłaskać najbliższe pnącze. Ku mojemu oburzeniu, różowa macka zacisnęła się na moim nadgarstku i zaczęła mnie przyciągać. Krzyknęłam i zaparłam się nogami, usiłując wyrwać rękę.

– Chodź... – kusila roślina, jak dla mnie niezbyt przekonująco. – CHODŹ!

W następnej chwili oplątało mnie więcej rozszalałych macek, próbujących chyba przebić się przez moją skórę.

– NADCHODZĘ!

Usłyszałam serię wystrzałów, a zaraz potem poczułam, że berberys zwalnia uścisk; zaczął się wściekle szamotać, a wreszcie uwolnił korzenie z ziemi i pognął w stronę lasu. Opadłam bezwładnie na trawę.

– Agent Bądzik, przez „q”. Nic pani nie jest? Poświęcę pani...

Rozdziawiłam usta. Przede mną stał maleńki człowieczek w doskonale skrojonym garniturze, z latarką w dłoni.

– No, w samą porę! Dostaliśmy cynk od Rosjan już tydzień temu, ale trudno było to cholerstwo namierzyć...

Nie słuchałam dalej. Zerwałam się na nogi i pomknęłam w stronę domu.

– Gdzie pani ucieka?! Widziała pani, jak to się rozrosło?! Potrzebujemy pani pomocy!

– Nie, to ja potrzebuję pomocy! Wszelakiej, głównie psychiatrycznej!

– Ta bestia będzie atakować ludzi! Działa jak wampir, wysysa krew do ostatniej kropelki! Chce pani to tak zostawić?!

Zatrzymałam się jak wryta.

– Jak mogę pomóc? – bąknęłam.

– Najlepiej działa na nią ocet. Ma pani ocet?

– Sprawdzę!

Pognaliśmy do spiżarki. Miałam jedną butelkę, i to niemal pustą.

– Co robić? – jęknęłam.

– Nie ma tu pani jakichś sąsiadów?

Popędziłam do najbliższego domu, dopadłam do drzwi i zaczęłam walić w nie pięścią. Otworzyła Nowakowa, struchlała i oburzona zarazem.

– Ocet! – zarzęziłam. – Pożyczcie mi octu!

– Dziecko, jest środek nocy, a tobie się zbiera na gotowanie?!

– Ocet! – wycharczałam. – Ocet albo życie!

Nowakowa pokiwała głową, ale gdy tylko schowała się za drzwiami, usiłowała je zamknąć. Przewidziałam to jednak i już zawczasu zagnieździłam w szparze stopę. Pokonana Nowakowa pokicała po ocet.

Chwilę później biegliśmy leśną ścieżką, skąpaną w świetle księżyca. Krasnoludek nie sięgał mi nawet do połowy łydki, ale jakimś cudem dotrzymywał mi kroku.

– Jak ją znajdziemy?!

W odpowiedzi Bądzik wyciągnął maleńką krótkofalówkę.

– Odbiór! Halo, Ludmiła? Dawaj racę! Odbiór!

Przed nami, ponad koronami drzew, zajaśniała na niebie kula ognia, która szybko rozpadła się na efemeryczne iskierki.

– Co to za monstrum?! – wysapałam.

– A, zachciało się ruskim! Olimpiady ogrodniczej!

Ludmiła czekała na skraju głębokiego żłobu. Była jeszcze niższa niż Bądzik i miała na sobie ciemny dresik z białymi paskami. Musiały być wśród rosyjskich krasnali symbolem wysokiego statusu, bo spojrzała na mnie, jakbym była pyłem pod jej najeczkami.

– Schowała si w lisyj norzie – poinformowała, celując kciukiem w dno żłobu.

– Musimy ją jakoś wywabić. Potrzebujemy przynęty. – Bądzik zerknął na mnie z ukosa. – Proszę mocno trzymać butelkę.

Padły strzały, a ja poczułam paraliżujący ból w łydkach. Z pomocą krasnali runęłam na plecy i poturlałam się w dół. Natychmiast rozległy się trzaski i szelesty i już po chwili tkwiłam w koninie zachłannych macek, wędrujących po całym moim ciele. Rzuciałam się w konwulsjach niczym ryba wyciągnięta z wody.

– Lej go pani!

– A-a-a! Jestem pożerana!

– Lej go pani, bo tak pani zostanie!

Nadludzkim wysiłkiem zdołałam odkręcić butelkę. Wrzeszczałam jak opętana, lałam ocet, wokół rozlegały się strzały, aż nagle wszystko ustało i słychać było jedynie moje zawodzenie. Krasnale zbiegły w dół.

– I już po niej – ucieszył się Bądzik. – Spalona na amen.

– Zdrajcy – wyszeptalam.

– Spokojna głowa, to tylko kulki z octem. Zaraz dojdzie pani do siebie. Dziękujemy za obywatelską postawę!

Po tych słowach oboje zniknęli, zostawiając mnie samą wśród szczątków krwiożerczego pasażera. Ze złością miną uniosłam wzrok ku niebu.

– Boże! – zakrzyknęłam hiobowo. – Jak ja to wyjaśnię Nowakowej?!

Traumatyczne przeżycia to nie powód, by rezygnować z pasji, więc dzisiaj znów zajrzałam na swój ulubiony stragan. Ku mojemu przerażeniu, zobaczyłam na nim kilkanaście tak zwanych „berbersów”.

– Co one tutaj robią? – wybełkotałam.

– A trafiły mi się, całą partią tym razem. Idą jak świeże bułeczki. – Sprzedawca dostrzegł wyraz mojej twarzy i zaniepokoił się. – Wszystko w porządku?

Pokręciłam głową.

– Biorę wszystkie.

Kupiłam też skrzynkę octu i krótkofalówkę. Swoje poszukiwania zacznę od najniższych częstotliwości.

## Maciej Sznurkowski – Wilk

– Co tam marmolisz?

– Mamuś, chodź, w lesie tego wilka strugam, pokażę!

Przygarbiona kobieta podniosła w końcu wzrok znad stosu obierek i spojrzała na syna.

– Patrz, żeby wilcy to cię tam nie złapali, posiedziałybyś w chacie trochę, przy obejściu pomógł, bulwy pokroił.

– Ale, mamuś...

– Powiedziałam, mam robotę, bachurze ty mały. Jak nie pomagasz, to nie przeszkadzaj choć. I portki podciągnij, bo tego swojego wilka złapiesz! – Kobieta pogroziła Staszкови palcem i wróciła do przygotowywania posiłku.

Chłopiec wymknął się szybko na zewnątrz, poprawiając w biegu wysłużone lniane spodnie. Już na podwórzu machnął ręką do kudłatego psa, leżącego w cieniu przy płocie, a ten zerwał się wesóły i pobiegł za nim w kierunku pobliskiego pola.

– Bury, merdaj ładnie, to przynajmniej tatko zgodzi się z nami pójść. – Pies odszczeknął głośno, machając entuzjastycznie czarnym ogonem.

\*\*\*

Zobaczywszy chłopca, jeden z kosiarzy przerwał pracę, przetarł czoło ręką i nalał sobie do glinianego kubka nieco wody ze stojącego w cieniu nieściętej jeszcze pszenicy cebra. Kiedy chłopiec przybiegł do niego, mężczyzna poczochnął go po rudej czuprynie i powiedział:

– Matula nie miała dla ciebie żadnej pracy, Staszku?

– Bulwy kroić, tatku. Jak ja obiorę, to potem zawsze mówi, że zrobiłem w kant i się jedzenie marnuje.

Ojciec uśmiechnął się lekko, po czym podał chłopcu kubek. Staszek wypił szybko wodę, przetarł usta i powiedział:

– Bo ja dzisiaj skończę tego wilka, co tyle o nim opowiadałem.

Mężczyzna uniósł lekko brwi, jakby musiał sobie to przypomnieć, chwilę patrzył gdzieś w pole, po czym pokiwał głową.

– Twojego leśnego przyjaciela, tak?

– Tak! Chodź, tatku, zobaczysz, jaki ładny wyszedł! Ma ogon taki futrzasty, trochę jak Bury, i... – przerwał, gdy zobaczył, że ojciec lekko uniósł dłoń.

– Staszku, miło, że przybiegłeś tu z Burym – mężczyzna zatoczył ręką łuk, obejmując resztę pola – ale sam widzisz, że mamy tu z sąsiadami jeszcze dużo pracy.

– Ale... tatku, sam mówiłeś, że cieszysz się z mojego... Z mojej... No, ksiądz mówił o tym, jak przyjechał kiedyś z miasta, że nas...

– Że nas wzbogaca, synku. Pasja. – Ojciec kucnął, tak by być na równi z synem, i położył Staszekowi rękę na ramieniu. – To dobrze, że znalazłeś sobie jakieś zajęcie. Syn Miłka w Smolnikach strugał takie wymyślne figurki, że nawet miastowi je kupowali. Chodzi jednak o to, że wszyscy mamy swoje zajęcia i musimy się im poświęcić. Nie mogą tak po prostu przestać kosić zboża. Czemu nie przyniesiesz wilka tutaj?

– On nie chce na razie tu przyjść! Nie jest skończony!

– No, to chyba lepiej, żebyśmy go jeszcze nie widzieli, prawda? – Mężczyzna wziął z powrotem kosę do rąk i wrócił do pracy. – Zmykaj, skończ wilka i wtedy go przynieś.

Staszek zachmurzył się i ze spuszczoną głową opuścił ojca, sięgając co chwila dłonią ku długiej sierści rosnącego psa.

– Tylko ty, Burku, wiesz, jak nam na tym zależy. Mnie i wilkowi.

\*\*\*

Ludzie mówili potem, że tamtego dnia las szumiał tak, jakby drzewa targał sam diabeł. Niebo było jednak czyste, a z obejmć nie porwało nawet suszących się ubrań.

Pierwszy zobaczył ich stary Radsuł, wracając akurat z popijawy u bratanka, którego Bóg nagroził poprzedniego dnia pierwszym synem. Starzec ledwo trzymał się ścieżki i gdy zobaczył w głębi lasu czworonożną istotę, uznał, że to gorzałka uderzyła mu do głowy. Kiedy jednak stwór towarzyszący najwyraźniej jakiemś chłopcu – czy to nie był przypadkiem mały Stach? – wyczuł goi spojrzał na niego błyszczącymi jak łuski okonia ślepiami, Radsuł popędził w kierunku wioski, zataczając się i krzycząc wniebogłosy:

– Matko święta, ludzie, wilcy piekielni!

\*\*\*

– Bronka, Bronka, chodź szybko! – Kosiarz wbiegł do chaty, o mało nie następując na białego kota, który odskoczył z sykiem. Kobieta zamiatająca podłogę aż podskoczyła i upuściła miotłę.

– Na Boga, co się stało? Staszek cały? Zmierzcha prawie, a... – przerwała, gdy zobaczyła przerażenie na twarzy męża.

Bez słowa wybiegli na podwórze, trzymając się za ręce. Mężczyzna nie musiał tłumaczyć żonie, dokąd idą – za mostkiem, niedaleko lasu, widać było jakieś zbiegowisko.

– Powiedział, że cała wieś ma przyjść – wysapał kosiarz – inaczej będzie zły.

– Kto, na litość boską, kto?

– Staszek.

Dobiegli do tłumu. Ludzie szeptali między sobą, złęknieni, patrząc na nich spode łba. Zwykle uśmiechnięci sąsiedzi rozstąpili się, jakby para otoczona była morowym powietrzem. W końcu małżeństwo minęło wszystkich i zobaczyło swojego syna.



Staszek z nieobecną miną stał przed ludźmi i głaskał po kłębie drewnianą bestię. Wyglądała jak wilk stworzony z giętkich gałęzi, które splotły się w potężne, oddychające jakby z chrzęstem liści cielsko.

– Mamuś. Tatku. – Chłopiec skierował głowę w ich stronę, chociaż na jego twarzy wciąż nie było widać żadnych emocji. – Mój przyjaciel zrobił się niecierpliwy. Skończyłem go dzisiaj. Smuci go, że nie chcieliście go zobaczyć wcześniej. – Wilk kłapnął na te słowa zębami przypominającymi kolce wielkiej róży.

– Staszku – kosiarz przytulił żonę i wysunął się naprzód – spokojnie, synu. Pokaż. Pokaż nam swoją pasję.

Chłopiec, cały czas głaszcząc wilka, spojrzał zielonymi jak las oczyma na swojego ojca i uśmiechnął się.

## Paweł Benetkiewicz – Zaraz będzie ciemno

„Zaraz będzie ciemno” — zauważył, spoglądając przez dziurawe, chybotliwe na wietrze prześcieradło, niezdarnie zastaniające dość sporą wyrwę w ścianie jaskini. Wziął głęboki oddech. Poza lekką wonią stęchlizny dochodzącej z korytarza i odoru pleśni z rogu swej komnaty czuł też rosnącą ekscytację. Zakończył trwający od świtu czar przebrania i delikatnie odłożył drewnianą, ozdobioną już jedynie nierównymi słojami maskę, która jeszcze przed chwilą wyrażała twarz zielonookiego kobolda w średnim wieku. Wiedział, że po zmroku żaden z jego chwilowych towarzyszy nie odważy się wtargnąć w jego ciemne cztery kąty. Wszak wszystkie koboldy panicznie boją się ciemności.

Schylił się nad zwiniętym w kłębek, puchowym piernatem, mającym dni swojej świeżości dawno już za sobą. Z wypłowiałej, dziurawej poduszki wyjął lekko pordzewiały sztylet ze swym imieniem wygrawerowanym na dębowej rękojeści. Schował go do wewnętrznych kieszeni swych czarnych, nieskazitelnych szat i zerknął raz jeszcze w stronę wyrwy z prześcieradłem. „Już czas!” — mruknął pod nosem, potrząsając ochoczo wypełnioną niemal po brzegi skórzaną sakiewką, skrytą pod swymi szatami. Odwrócił się na pięcie w stronę drewnianych, acz zdobionych wizerunkiem ognia drzwi od swej komnaty i potrząsnął lekko prawą dłonią. Drzwi uchyliły się, wydając lekkie skrzypienie z zardzewiałych zawiasów.

Szepcząc niezrozumiałą dla narratora inkantację, ruszył w głąb cuchnącej, pełnej pajęczyn jaskini. Ponury korytarz rozświetlała lekko zużyta pochodnia zawieszona na złamanej czwartej ścianie. Gdy zakończył inkantację, stał się całkowicie niewidoczny. A przynajmniej jego fizyczna postać. Wprawne ludzkie oko mogło dostrzec słaby, niestabilny cień maga. Ale nie koboldy. Te bowiem, choć oddane swemu przywódcy, są wyjątkowo głupie. Po zrobieniu zaledwie kilku kroków obrócił się w prawo i znów potrząsnął lekko dłonią, a komnata jednego ze śpiących koboldów — poszukiwaczy światła — stanęła przed nim otworem. Fetor rozkładającego się mięsa z upolowanego tydzień temu goblina, gnijącego w komnacie, momentalnie wypełnił jego nozdrza, powodując trudny do powstrzymania odruch wymiotny.

— Błeee! — krzyknął mimowolnie, usiłując jednocześnie nie zwrócić dzisiejszego obiadu na podłogę. Odgłos maga obudził śpiącego w komnacie kobolda.

— KK? Kto krzyżeć? Kto budzić Kalabag przed wielkie światło na niebo? Czemu nie mieć świeca? — zapytał ze zdziwieniem obudzony kobold, szukając w blasku pochodni nieproszonego gościa.

Zdezorientowany mag niewiele myśląc, sięgnął po sztylet i śmiało przyłożył do gardła wybudzonego ze snu kobolda. Zamaszystym ruchem rozpoczął dekapitację, wbijając nienaostrzony sztylet w szyję kobolda i ciągnąc powoli nóż wzdłuż szyi.

- KKKKKh! — rozległ się głośny krzyk zabijanego kobolda. Z szyi tryskała krew wprost na urokliwą i elegancką, czarną szatę maga. „Pozoga! Nie zdążyłem rzucić na niego zaklęcia milczenia.” — westchnął zrozpaczony, przecinając się przez kolejne tętnice szyjne. Sztylet utknął na chwilę w kręgosłupie, a potok krwi spływającej z jego szaty utworzył wielką na trzy stopy kałużę na podłodze.

- Khaaaa! — resztkami sił krzyczał w agonii kobold, łapiąc się panicznie za zwisającą z szyi, ociekającą krwią aortę.

Mag z pasją ciągnął sztylet dalej, kończąc w pośpiechu dekapitację. W końcu głowa kobolda opadła na ziemię, z pluskiem wpadając w kałużę krwi. Truchło zaś opadło na leżące obok, gnijące mięso goblina. „Nie wiem, co gorsze. Smród gnijącego mięsa, kałuża krwi czy to, że od tych krzyków zaraz zleć się tu wszystkie koboldy. Z pewnością to ostatnie” — zrozumiał po krótkiej chwili namysłu — „Przecież nie mogę tych koboldów zabić, gdyż koboldy zielonookie są pod ochroną. Zabicia jednego kobolda nikt nie zauważy, wszak ciągle któryś ginie z własnej głupoty, ale wszystkich? Nie! Nie mogę. Zobaczę, że to ja. Wykryją mnie po śladzie magicznym. Uciec też nie mogę. Zostało mi za mało mocy magicznej. Co robić? Co robić?” — bił się z myślami, lecz walka skazana była na porażkę. W ostatniej chwili chwycił za głowę kobolda, owinął wygiętym kręgosłupem wokół własnej i rzucił nań zaklęcie iluzji. Wtem oślepiło go światło kilkudziesięciu świec niesionych przez przybyłe w pośpiechu koboldy.

— Co się stać? Kalabag nie żyć? O nie! Nasz światły towarzysz! — rozległy się krzyki zrozpaczonych koboldów. Z tłumu wystąpił na przód nieco starszy, ubrany w charakterystyczne, białe ubranie z pozszywanych obrusów, wątłej budowy kobold — przywódca.

— Czemu Kalabag być martwy? I czemu ty być z nim tu bez świeca? — zapytał groźnie starszy kobold.

— Ja być z Kalabag na dwór. Szukać wosk do świeca. Ale Kalabag zgubić świeca na dwór. Potwór ciemności znaleźć my. Ja uciekać z Kalabag do jaskinia. Do dom. Ale Kalabag bez świeca. Potwór zjeść Kalabag, bo Kalabag bez światło. Ja nie zjedzony, bo ja mieć świeca. Potwór uciec od świeca. Ale Kalabag nie żyć. — skłamał wyjątkowo sprytnie mag.

— Nigdy nie chodzić w noc. Nawet ze świeca. Bo w noc potwór. I teraz potwór zjeść Kalabag. I my być bez świeca. Ty winny brak świeca Kalabaga, bo ty z Kalabag w noc iść na dwór. — kobold podrapał się po głowie, próbując wymyślić rozwiązanie — Ty kara. Ty znaleźć świeca w zamian świeca Kalabaga. Ty mieć trzy dni. Albo ty wygnany.

— Ale ja musieć szukać nawet w noc. Ja musieć mieć świeca na trzy noc.

— Dobrze. Ty dostać trzy świeca, jedna na noc. Ty użyć trzy świeca, ale ty wrócić z świeca po trzy dni. Albo ty wygnany.

Mag dostał trzy świece od przywódcy koboldów i opuścił jaskinię. Nie zamierzał już wracać, w końcu zdobył to, po co przybył: głowę zielonookiego kobolda. Unikat. Przedostatnia do kolekcji. Całe życie zbiera on bowiem głowy koboldów. Zawoskowane i zapieczętowane magią stanowią istny zestaw kolekcjonerski bil do kręgli. Oto jest jego pasja — zebrać je wszystkie. Przepętniony radością udał się do pobliskiej karczmy. Sprzedał dwie świece odpoczywającym w karczmie poszukiwaczom przygód. — „Frajerzy. Za dwie głupie świece dali aż 10 srebrnych monet.” — W zamian kupił sobie ulubioną, krasnoludzką cytrynowkę. W końcu nie pił aż od tygodnia.

\*\*\*

Następnego dnia obudził się na kacu z pozostałą świecą za pazuchą. Wyruszył w drogę do ostatniej - miał nadzieję - jaskini koboldów w swoim życiu. Jaskini koboldów trzyrogich. Również pod ochroną. Dokonał inkantacji i założył drewnianą maskę. Powitał koboldy, obdarowu-

jąc je świecą. Tak ważny prezent sprawia, że z miejsca stał się członkiem rodziny lokalnych koboldów. „To zawsze działa” — uśmiechnął się usatysfakcjonowany. Przez tydzień sumiennie wykonywał zadania wydawane mu przez przywódcę. Wiedział, że po tygodniu dostanie własną komnatę. Był gotów na poświęcenie wytrwania w tym smrodzie. Wiedział, że czeka go ostatnia głowa kobolda do skompletowania jego kolekcji. I do spełnienia swojej pasji.

\*\*\*

Wieczorem siódmego dnia otrzymał własną komnatę. Podekscytowany rozmyślał tak nad dopełnieniem swojej kolekcji. Zerknął w stronę niedbale zawieszzonego, dziurawego ręcznika imitującego firankę, zakrywającego dziurę w jego nowej komnacie w jaskini. “Zaraz będzie ciemno” — zauważył.

## Paulina Górecka – Umarłe ogrody

Co jakiś czas w wiosce działo się coś niewytłumaczalnego. Zwykle wiązało się to z wizjami Oświeconego, który starał się nadać znaczenie niezrozumiałemu, by uspokoić ludzi i zapewnić ich, że ma nad wszystkim kontrolę. Było to umowne, gdyż nikt nie lubi być kontrolowany. Szacunek do wizji przeważał nad chęcią buntu, zatem wszyscy byli zadowoleni, szczególnie gdy podczas spotkania uraczyli się naparami ze sfermentowanych roślin czy kadzidłami z palonych ziół.

Było to jednak wieki temu i dawno już zapomniano, jak wyglądał świat przed Miastem.

Właśnie w tamtej wiosce wiele lat później urodził się chłopiec, któremu, zgodnie z ogólnym zarządzeniem, nie nadano imienia. Nazwijmy go chłopcem, który uwielbiał rośliny.

Nie jest to ocena przesadzona: miał on szczęście – lub pecha – urodzić się w domu z ogrodem. Jego rodzice uważali zajmowanie się kawałkiem ziemi za stratę czasu, jednak chłopiec, zachęcany przez dziadków, odnalazł się w tym znakomicie. Kiedy po rodziców z jakiegoś powodu posłano oficjeli, zasadził dwa nasiona, by przypominały mu o nich. Miał nadzieję, że kiedyś pięknie wyrosną i dowie się, jakimi są roślinami, ale kiedy tylko zaczęły kiełkować, po prostu zniknęły z ogrodu. Nikt o tym jednak nie wspominał, a chłopiec niebawem zapomniał o bliższych.

Mijały lata, a chłopiec rozwijał swoje zainteresowania. Zaczął od odróżniania dmuchawca od mlecza, ale szybko zaczął zgłębiać wiedzę zarówno o roślinach użytkowych, jak i o tych ozdobnych, które nikomu się do niczego nie przydawały, ale ładnie wyglądały. Chłopiec kochał wszystkie jednakowo i bardzo się oburzał, kiedy ktoś umniejszał wagę jego „kwiatków”.

Kwiatki jednak rosły, a chłopiec wraz z nimi, więc gdy nastał czas, dziadkowie posłali go, zgodnie z ogólnym zarządzeniem, do Miasta.

Miasto leżało daleko od wioski chłopca, więc był on podekscytowany podróżą. Był też ciekaw, ile nieodkrytych gatunków roślin czeka na niego w nowym miejscu. Budynki Miasta były inne niż te w wiosce, tak wysokie, że aż nie było widać ich dachów. Podobno kiedyś ludzie robili na tych dachach ogrody, więc tym bardziej go to fascynowało.

Niestety, w internacie dla uczniów nie było ogrodu na dachu. W ogóle niczego tam nie było, nawet współlokatora dla chłopca uwielbiającego rośliny. Nikt nie chciał mieszkać z jakimś wieśniakiem. Dyrekcja przydzieliła mu mały oddzielny pokój, ale chłopiec nie przejął się tym. Nawet lepiej, bo mógł zajmować się swoimi przyjaciółmi w spokoju.

W Mieście pożądanym było, by każdy młody człowiek dbał o rozwój swoich zdolności. Nowe technologie były na wagę złota, a dzieci karmiono wizją sławy, jeśli uda im się rozpracować nierozpracowalne lub wymyślić Niewymyślone. Władze liczyły na to, że pod któryś ze schludnych mundurków kryje się geniusz, który posłusznie zgodzi się pracować dla dobra społecznego i nie będzie im zawracać głowy swoimi fanaberiami.

Chłopiec uwielbiający rośliny oczywiście rozwijał swoje zdolności, ale nie te, o które chodziło nauczycielom. W dodatku wcześniej nie był ograniczony żadnymi ścisłymi zasadami, więc czuł się zagubiony. Po szkole wracał do swojego pokoju, pielęgnował rośliny i opowiadał im, jak

minął mu dzień, to go uspokajało. Liczył na to, że dziadkowie go słyszą; w końcu kiedyś mówili, że rośliny potrafią się ze sobą komunikować, nawet jeśli ludzie nie są w stanie pojąć ich języka.

Nie było mu łatwo nawiązać kontaktu z rówieśnikami, którzy nie wiedzieli nawet, czym jest pomidor i nie rozumieli, czemu chłopiec krzywi się na czerwoną zupę podawaną w stołówce. Chłopiec starał się jednak jak mógł, bo nigdy wcześniej nie miał kolegów. Chciał być lubiany i starał się kogoś polubić, ale jak tu lubić kogoś, kto uważa twoje pasje za śmieszne?

– Myślisz, że jesteś lepszy, bo sadzisz jakieś zielsko?

Doniczka z sukulentem rozbiła się o posadzkę, gdy starsi koledzy starali się wybić mu z głowy te beznadziejne kwiatki. Chłopiec nie poskarżył się nikomu. Miał zaległości w nauce i na tym się skupił, na obliczaniu wzorów, skręcaniu robotów i niemyśleniu o domu.

A rośliny zaczęły usychać.

Początkowo były to tylko pojedyncze liście, co łatwo było przeoczyć, zwłaszcza gdy spadły do donicy. Jednak chłopiec zauważył to i pomyślał, że w Mieście nie ma dla nich odpowiedniej wody, więc odesłał je z powrotem do domu. Dostał w odpowiedzi parę innych roślin, które nie wymagały tak częstego podlewania, oraz butelkę wody. Kusiło go, by się napić, ale musiał ją oszczędzać.

Przesyłka od dziadków podniosła go na duchu, zasnął spokojnie i przez chwilę wydawało mu się, że wszystko wróciło do normy. Dopiero po przebudzeniu znów poczuł się nieswojo.

Rzecz w tym, że nie miał pewności, że w ogóle się obudził.

Wszystko spowijało coś na kształt mgły i rosy, a wokół były tylko rośliny, cała masa roślin, również takich, których nigdy wcześniej nie widział. Najbliższa z nich była tą, którą trzymał w doniczce na biurku, więc odruchowo skierował do niej swoje pytanie, chociaż nie oczekiwał odpowiedzi.

– Gdzie ja jestem?

– Może ty mi to powiesz, mój drogi? – uśmiechnęła się sansewieria. Chłopiec nie sądził, że jakakolwiek roślina może się uśmiechać, a tym bardziej mówić. Fakt, on sam mówił do nich, ale one nie odpowiadały... To była tylko jego wyobraźnia. Rozejrzał się, ale nie potrafił określić, gdzie się znalazł. Na pewno nie był to jego pokój.

– W... ogrodzie? – rzucił trochę głupim tonem. W odpowiedzi usłyszał tylko dźwięczny śmiech. Ale tak, w istocie był to ogród, tylko trochę... dziwny. Nienaturalny. Niezdrowy.

– Powiedz mi, chłopcze, który uwielbia rośliny, co robisz w Mieście? – spytała ponownie ta... istota. Musiał się nad tym zastanowić. Uczył się, przecież im to mówił, ale... chciał wrócić do domu. Ból musiał odmalować się na jego twarzy, bo roślina musnęła go chłodnymi liśćmi, jakby próbując go pocieszyć. Poczul zimny dreszcz.

– Może chcesz nam pomóc? Skorzystamy na tym wszyscy, mój drogi... – Ton był słodki, spokojny. Chciał mu zaufać. Ale obudził się, nim zdążył zapytać, o co właściwie chodzi.

Od tego czasu co noc nawiedzały go podobne sny: uschnięte kwiaty, które jakimś sposobem wciąż były pełne życia, spróchniałe drzewa wypuszczające nowe liście, zapach dymu i ziołowej herbaty. Wolał śnić, niż żyć na jawie. Czuł się wtedy bezpiecznie, jak w domu.

– Co mogę zrobić? – spytał pewnej nocy. Ten świat stał się mu bliski, chciał mu się jakoś odwdzięczyć za towarzystwo. Sansewieria wydawała się zadowolona, że w końcu padło to pytanie. Wydawała się też dziwnie... ludzka.

– Zanieś mnie do gabinetu dyrektora. To wystarczy.

Było to proste zadanie, nawet chłopiec taki jak on mógł je wykonać. Stopniowo szkoła zaczęła zmieniać swój kształt, ale wszyscy zachowywali się tak jak wcześniej. Chłopiec zdał sobie sprawę, że jedynie on dostrzega zmianę. Nie przeraziło go to jednak. Nie ostrzegł nikogo, bo i tak z nikim nie rozmawiał. Czuł spokój.

Na wakacje wrócił do domu i tam już został. Dziadkowie nie oglądali telewizji, więc nie mogli dowiedzieć się, że Miasto zostało zrównane z ziemią, a w jego miejsce pojawił się tajemniczy ogród, z którego dobiegał cichy śmiech. Chłopiec nie śnił już o niczym szczególnym i dalej zajmował się ogrodem, tak jakby nigdy go nie opuścił.

Tylko sansewierie wciąż się do niego uśmiechały.